ŚWIĄTECZNY NUMER „DUNAJCA" W PODWÓJNEJ OBJĘTOŚCI

Świadkowie Czterdziestolecia ◆ Kulisy Sejmu ◆ Chłopski bal u Potockiego ◆ Gdy zamilkły działa w Europie ◆ Wspominki Stefana Ciepłego o Zakopanem, Bukowinie Tatrzańskiej i narodzinach „Dunajca" ◆ Spacer po Gorlicach ◆ Partyzancka tragedia koło Grybowa ◆ Rozmowa o „Chemobudowie" ◆ Szczawnicka biblioteka ◆ Zakopiański festiwal folkloru ◆ Wakacyjna oferta dr. Andrzeja B. Krupińskiego ◆ Polski olbrzym — zapaśnik Adam Sandurski ◆ Mjr Glińskk: „Balanga w Starym Sączu" ◆ Balzac o sztuce uwodzenia ◆ Ponadto: rady lekarza — wiersze — krzyżówka.

DUNAJEC

TYGODNIK PZPR

Nr 29–30 (193–194) ROK V Nowy Sącz 15–22 lipca 1984 r. Cena 20 zł

Jerzy Masior

OJCZYZNA

I jest jak trawa zielona,
jak łąka sienna, skoszona —
pąkiem jest i całym sadem,
Dunajcem płynie, Popradem.

I jest od krwi do bławatu
i taka na przekór światu.
I jest od iskry do słońca —
syta i wciąż pragnąca.

I jest zbierana po drogach
w klejnotach, a tak uboga —
nocą jest i światłem całym,
poczęciem i dniem dojrzałym.

I jeszcze pod twoim niebem
pragnieniem jest — ciepłym chlebem,
pośród hałasu — milczeniem,
a pośród skwaru — cieniem.

Są daty graniczne w dziejach narodu. Jest taką datą bez wątpienia rok 1944. Warto wszakże pamiętać, że ten największy w polskim tysiącleciu zwrot nie dokonał się z dnia na dzień. Przed Gomułką i Bierutem był Waryński i „czerwony kasztelanic" Dembowski. Przed Manifestem Lipcowym był Uniwersał Połaniecki. Przed Konstytucją roku 1952 była Konstytucja 3 Maja. Przed Kościuszką i szewcem Kilińskim był Andrzej Frycz-Modrzewski. Pokolenia szlachetnych marzycieli, buntowników i rewolucjonistów doprowadziły dwie najliczniejsze klasy społeczne do wysiadzenia z siodła klasy posiadaczy.

Polska Ludowa nie jest wi[illegible] kowlakiem kapryśnej dziejo[illegible] konsekwencją walki prowadzonej od dawien dawna.

Czterdziestolecie

We wrześniu 1939 roku rozsypał się domek z kart: zawiedli zachodni sojusznicy, z bankrutował zantysowiecka polityka, zostaliśmy sami, niezdolni do obrony swej suwerenności. Żołnierze-tułacze, więźniowie obozów koncentracyjnych, uczestnicy ruchu oporu rozumieli, że Polska, która się odrodzi — musi być inna niż dotąd.

Zwycięzcy Armii Czerwonej przyszczęśliwy bieg zdarzeń, ale idea gruntownego przeobrażenia stosunków społecznych w odwiecznej Polsce kwalifikowała się przed Stalinegradem, Kurskiem i Berlinem. Na [illegible] przedmówek i bezsensu [illegible] było od dawna.

Nieszczęście polegało na tym, że przeciwni wiele nie pogodzili się z klęską. Przed Berlinem embyl And ers. Z Polska Lubelska rywalizowała Polska Londyńska. Parę dni po Manifeście PKWN wzniecono Powstanie Warszawskie. Na dekret o reformie rolnej odpowiedziano wojną domową. Chłopi dostali ziemię nie tylko nacjonalizacja przemysłu, odbudowa kraju, elektryfikacja, Nowa Huta, awans biedoty, lecz także — nie mające żadnego odpowiednika w Europie — ciągłe o dziesięciolecie — bezsmrodowa walka polityczna. Porażka Mikołajczyka, i rozczarowanie [illegible] podjęła [illegible] walkę. Solot [illegible] położenie geograficzne, dywersyjna robota Zachodu, rozliczne kłopoty gospodarcze będące konsekwencją ceny, jaką zapłaciliśmy za lata okupacyjnego bar barzyństwa, a także błędy, jakie sami popełniliśmy — złożyły się na to, że wciąż od żywały wewnątrzpolski e konflikty.

Nasze czterdziestolecie obroni się przed sądem historii. Nikt nie twrócił pańskiej ziemi i fabryk, nie zamknie nowoczesnego dodeł u do szkół i szpitali, nie od lecze zd bycia nowego ustroju. Dziś walka nie toczy się już o to „kto kogo". Zapletki w nienawiści przeciwników Polski Ludowej nie odwróca procesu historycznego. Dziś idzie o to, by miliony wysłoiągodpodarzy nowej Polski poczuły się odpowiedzialnie za obszyzne. Wydajniejsza i lepi ej zorganizowana praca, mądrym wychowaniem młodych, pieniemiem zła, samowzdnościn, możemy przyspi eszyć proces przemian zapoczątkowany w lipcu 1944. Byl ejakoś ścia, pasywności, skłóceniem — opóźniamy temo marszu.

Warto pomyśleć kto i w czyim interesie spełnia rolę „hamulcowego", a kto od zarania Polski Ludowej forsuje koncepcję rozwoju.

LIPCOWE WSPOMNIENIA

JÓZEF SOBIESIAK

(Robotnik, komunista, żołnierz Września. Dowodził partyzancką brygadą „Grunwald". Po wojnie — w stopniu kontradmirała — był zastępcą komendanta Wojskowej Akademii Politycznej.)

Bez przerwy popędzałem motocyklistę. Przez jakiś czas jechał bardzo szybko, ale potem musiał zwolnić, wpadaliśmy na dziurawe i krzyżujące drogi. Wybiegły ku nam krajobrazy coraz mi bliższe, serce zaczęło bić mocniej.

Wieś wyskoczyła zza zakrętu nagle. Ze wzruszeniem przypłodałem się znajomym domom... Są! Wieś nie została spalona, ocalała z pożogi wojennej, więc może... I oto dom na górce, dom najbardziej znajomy ze wszystkich na świecie, dom, w którym się urodziłem, i w którym rosłem w sędzy. Wszystko zmalało, skurczyło się, opustoszało. Przestraszyłem się, że to opuszczenie w zagrodzie, to zniedbanie świadczy o tym, że nikogo tu nie ma. Ale wtedy przed dom wyszła kobieta i poznałem matkę. Wykoczyłem z przyczepy i ruszyłem w jej stronę. Podniosła dłoń do czoła, przyglądała mi się. A potem krzyknęła ostro, półprzytomnie: „Józek"! i rzuciła się biegiem w moją stronę. Stałem w miejscu, nie mogłem postąpić ani kroku naprzód. Potem w progu pojawił się ojciec, a ja wciąż jeszcze nie mogłem uzyskać z siebie głosu, czułem w gardle ucisk ogromnego wzruszenia.

Podobnie, jak ja o nich, nie wiedzieli nic o mnie przez całe pięć lat, od krytycznego września trzydziestego dziewiątego roku. Głowa oja zbielała do reszty, wyraźnie się postarzał, osłabł. Wyobrażałem sobie, jakie mieli kłopoty z utrzymaniem się na tej mizernej gospodarce. Synowie rozproszyli się po świecie, jeden z moich braci był w partyzantce na Wileńszczyźnie, drugiego Niemcy wywieźli najpierw do Oświęcimia, a potem do Mauthausen-Gusen, ja też przepadłem bez wieści i dopiero dzisiaj... Długo opowiadaliśmy sobie o naszych przeżyciach wojennych, dowiedziałem się potem, że ojciec był przesłuchiwany nie tylko przez Niemców, ale także i przez „swoich" — za to że „mówił na komunistów wąchowat". Powiedziałem wówczas, że teraz nareszcie będzie inaczej, że mamy już wolność i władzę ludową. Sąsiedzi (a zeszło się ich niemało) usiłowali wyprowadzić mnie z błędu. Władza ludowa może i jest, mówili ostrożnie, ale słaba jeszcze, oj słaba; silniejsi są na razie ci z lasu. Jacy „z lasu"? — dziwiłem się. — Przecież minęła już okupacja. A i owszem, odpowiedziano, ale są tacy, którzy władzy ludowej nie uznają, nie podoba. I dodawali życzliwie, żebym się miał na baczności, żebym się w tych stronach nie czuł zbyt bezpiecznie.

Nie chciało mi się to pomieścić w głowie. Jeszcze byłem tu świeży, jeszcze cieszyłem się młodziutką wolnością nativnie i dobrodusznie. Nie wierzyłem, że są tacy ludzie, którzy nie mogą znieść mojej radości, nawet wśród tych, którym „władza ludowa bardzo się nie podoba". Łażenie z bronią po lesie aż, kiedy hitlerowców już dobili wszyli? Nie, to mi się wydawało mało prawdopodobne.

Nie niedługo tak myślałem. Następnego dnia, kiedy wracaliśmy do Lublina, ostrzelano nas z ręcznej broni maszynowej. Oto jest ten drugi front, na którym trzeba będzie stanąć — uświadomiłem sobie z przerażliwą jasnością. Najprzykrzejszy z frontów, bo wewnętrzny, bratobójczy. Dopóki i tu nie odniesie się zwycięstwa, nie ma mowy o spokoju dla umęczonego kraju. A więc czekały na nas nowe zadania, wcale niełatwe. Wiedziałem, żal zwykle, mieli stanąć na pierwszej linii.

BOLESŁAW DROBNER

(Wybitny działacz polskiego ruchu socjalistycznego. Wojnę przeżył w ZSRR. W PKWN piastował urząd kierownika resortu pracy, opieki społecznej i zdrowia.)

Choć tej nocy nie spałem wcale, choć wszyscy razem nie mieliśmy oka, to w samolocie nuwal wszyscy patrzyliśmy przed siebie i wypatrywaliśmy, kiedy już ujrzymy polską ziemię. Wreszcie usłyszeliśmy głos pilota: „Zbliżamy się do Chełma". Wrzawnie nasze było ogromne. Po pięciu latach znów Polska!

Każdy z nas chciał zejść pierwszy na ląd! Dojechaliśmy samochodami do miasta. Zauważyłem na lewnach domów rozlepione afisze z Manifestem Lipcowym i ozobne afisze z fotografiami członków PKWN. Przed afiszami moc ludzi, a jeden na głos czytał treść.

Rozlokowaliśmy się w skromnym domku partiewnym. Podjeżdżali pod dom znajomi nasi z Dywizji Kościuszkowskiej i znikali zaraz, żeby wypełnić rozkazy... Tow. inż. Popiel zapowiedział na godzinę trzecią po południu wiec ludności. Afisze przygotowane z góry zostały rozlepione. Tymczasem zjawiło się na wiecu bardzo mało ludzi. Dlaczego? Ludzie byli jeszcze nastraszeni. Postanowiliśmy wyjść na miasto... Spotkałem kilku kolegarzy. Zapadnięten ich o losy Związku Zawodowego Kolejarzy w Chełmie, gdzie jest ich lokal. Zdziwieni byli moimi pytaniami. Gdy wyjaśniłem im, kim jestem, chwycili mnie za rękę, ściskali ją i powiedzieli, że mali mnie z nawiska i z działalności wśród kolejarzy, że teraz ujrzeli moją fotografię na afiszu. Zapytałem, czy można by spotkać się z kolejarzami i w ogóle z ludnością Chełma. Odpowiedzieli mi, że od dawna czekają na takie zaproszenie, że nie poszli na wiec, bo obawiali się... Dopadaliśmy się zaraz i umówili, że przyjdą masowo na godzinę ósmą wieczorem. I istocnie, zeszło się dużo chełmian. Wiec się udał.

JÓZEF DUBIEL

(Wychowany w rodzinie aktywnie walczącej o powrót Śląska do Macierzy. Latem 1944 pracował w resorcie sprawiedliwości PKWN, następnie był kolejno prezydentem Chorzowa i sekretarzem generalnym Polskiego Związku Zachodniego oraz wiceministrem w Ministerstwie Ziem Zachodnich.)

W Manifeście PKWN moją uwagę szczególnie przyciągał ten fragment: „Stawajcie do walki o powrót do Matki-Ojczyzny starego polskiego Pomorza i Śląska Opolskiego, o Prusy Wschodnie, o szeroki dostęp do morza, o polskie słupy graniczne nad Odrą..."

(...) Pytał mnie niedawno młody kolega dziennikarz: dlaczego ministrem Ziem Odzyskanych został właśnie Władysław Gomułka? A któż inny mógł nim zostać w tym okresie? Kto inny miał potrzebny do tego zadania autorytet polityczny (jako sekretarz generalny Polskiej Partii Robotniczej) i autorytet osobisty, wynikający z cech jego osobowości?

Gomułka, bez względu na „klucze partyjne", umiał korzystać ze współpracy fachowców z Delegatury rządu londyńskiego, ludzi swojej partii innych stronnictw, bezpartyjnych. W Radzie Naukowej przy Ministerstwie Ziem Odzyskanych z ogromnym zaangażowaniem uczestniczyli najwybitniejsi naukowcy polscy z różnych dziedzin nauki. Chciałoby się powiedzieć: był to konkretny przykład porozumienia narodowego w tym wielkim, ogólnonarodowym dziele, jakim było zasiedlenie i zagospodarzenie Ziem Zachodnich.

Ministerstwo podlegał Państwowy Urząd Repatriacyjny. Młodym ludziom skróty „PUR" i „Pureowiec" nic nie mówią, są pustym dźwiękiem. A przecież w tamtych latach była to instytucja potężna, a jej nazwa była na ustach wszystkich.

PUR zatrudniał w całym kraju około 10 tys. pureowników; raczej niedużo, jeśli wziąć pod uwagę ogrom zadań, jakie do niego należały: przesiedlenie ludności niemieckiej, repatriacja ludności polskiej ze Związku Radzieckiego, przesiedlenie ludności z województw centralnych na Ziemie Odzyskane. W sumie migracje te obejmowały wiele milionów ludzi. PUR musiał te miliony przewieźć, wyżywić i osiedlić. W punktach etapowych PUR-u, które znajdowały się na granicach i w całym kraju, ludzie rodzili się i umierali. Zenili się i rozchodzili. Zderzały się różne kultury i obyczajowości, które dopiero w wiele lat później miały dać jednorodny, nowy polski stop na tych ziemiach. Na razie sporo było nieufności, konfliktów, antagonizmów.

Wielka rola w tym wszystkim przypadła także Ludowemu Wojsku Polskiemu. U boku Armii Radzieckiej nie tylko wyzwoliło ono te ziemie, nie tylko zaciągnęło straż nad Odrą, ale włożyło też ogromny wysiłek w zagospodarowanie Ziem Odzyskanych. Przed osadnikiem wszędzie był saper, który rozminowywał domy i pola. Na terenach jeszcze niezasiedlonych żołnierze siali i zbierali plony.

Rozstrzygnięcie konkursu

„Myśli w czyn przemienione"

Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Nowym Sączu oraz redakcja tygodnika „Dunajec" ogłosiły otwarty konkurs na wspomnienia działaczy kultury, twórców i wychowawców, którzy w 40-leciu Polski Ludowej odegrali ważną rolę w przyspieszaniu przemian świadomości obywatelskiej, dokonującej się równolegle z ustrojowymi przekształceniami społeczno-politycznymi. Intencją organizatorów było również publicystyczne udokumentowanie tych działań społeczno-kulturalnych, które wzbogacają dziś życie regionu cennymi wartościami integrującymi społeczeństwo.

Na konkurs wpłynęło 47 prac zawiadczających, jak różnorodne inicjatywy składają się na panoramę naszej regionalnej kultury. Po wstępnej selekcji, przeprowadzonej przez sekretariat konkursu, nadesłane prace oceniło Jury w składzie: **Stanisław Glinka** (przewodniczący), **Alicja Hebda, Antoni Kiemystowicz, Antoni Moraiski i Adam Ogorzałek.**

Postanowiono przyznać trzy I nagrody po 15 tysięcy złotych:

● w dziedzinie reportażu **STEFANOWI CIEPŁEMU** za teksty o rabczańskim teatrze lalkowym i działaczach kultury podhalańskiej;

● w dziedzinie popularyzacji dóbr kultury regionu dr. **ANDRZEJOWI R. KRUPIŃSKIEMU** za systematyczne prezentowanie na łamach „Dunajca" miejsc pamięci narodowej, zabytków architektury, dorobku amatorskiego ruchu artystycznego oraz rodzimego folkloru;

● w dziedzinie pamiętników mgr. **ANTONIEMU SITKOWI** za wspomnienia z pracy na niwie pedagogiki, krajoznawstwa i oświaty.

Dwiema równorzędnymi nagrodami po 10 tysięcy złotych wyróżniono:

● **LUCYNĘ KASZUBĘ** za prezentację dorobku współczesnych plastyków i fotografików oraz cykl publikacji poświęconych plastykom upowszechniania kultury;

● **ANDRZEJA SZYMAŃSKIEGO** za prace o zakopiańskiej bibliotece, klubie MPiK oraz o Międzynarodowym Festiwalu Folkloru Ziem Górskich.

Jury wyraża przekonanie, że plon konkursu przedstawiony na łamach „Dunajca" poszerzy obywatelską refleksję o czterdziestoleciu Polski Ludowej.

JERZY LEŚNIAK

MATKA PARTYZANTÓW

W pierwszych dniach września 1944 roku opodal wzgórza Matelanka koło Grybowa grupa osób pod osłoną nocy odgarniała łopatami ziemię. Obok czekały trumny. Z ciemna prostymi żołnierskimi trumnami. Spoza chmur na chwilę wyjrzał księżyc. Nie trzeba było głęboko kopać, po kilkakrotnym zanurzeniu łopata dotknęła ciała. Na samym wierzchu leżały zwłoki kobiety.

— *Matka komendanta* — szepnął jeden z partyzantów.

Syn zamordowanej, Kazimierz Wątróbski „Sęp", dowódca jednostki specjalnej Inspektoratu Ludowej Straży Bezpieczeństwa, stał z pochyloną głową, obejmując rękami dwie siostry. Razem z matką wydobyto z dołu zmasakrowane ciała ich ojca, braci, krewnych. Wkrótce niezwykły kondukt ruszył w stronę rodzinnych Wilczysk.

Na pomnie Władysława Barana pochowano osiem osób. Matka komendanta, ANNA WĄTRÓBSKA, cierpiała najwięcej. Umarła ostatnia. Patrzyła na śmierć swoich dzieci i męża. Do wszystkich strzelano w tył głowy. Anna widziała ich mękę, maltretowanie syna Mariana, któremu powyrywano paznokcie i połamano nogi.

Tak odeszła na zawsze wraz ze swymi najbliższymi bohaterska matka partyzantów z twardej chłopskiej rodziny Wątróbsk. Matka Sępa, dzielnie uczestniczących w ruchu oporu na ziemi gorlickiej i sądeckiej; komendanta oddziału Batalionów Chłopskich — „Sępa" inspektora broni w tym oddziale — Mariana, Adama, łącznicze i sanitariuszek — Zuzanny „Cygaski", Janiny „Czajki" i Henryki „Ewy".

Dwa miesiące po śmierci matki wrogowie radykalnych przemian społecznych skrytobójczo zamordowali w Łyczanej „Sępa" (kulisy śmierci legendarnego żołnierza Batalionów Chłopskich w relacji jego współtowarzysza broni, Bolesława Płaszka, przedstawiliśmy we wrześniu 1982 roku — „DUNAJEC", nr 100).

Rodzinne dzieje

Urodziła się 11 maja 1886 roku w Stróżach. Miała jedenaścioro rodzeństwa, z którycha pięcioro zmarło w dzieciństwie. Na zawsze pozostał jej w pamięci bolesny żal matki, Florentyny, za utraconymi potomstwem. Tym troskliwiej pielęgnowała swoje pociechy, kiedy przyszło jej zostać matką. Okrutny polski los doświadczył ją jeszcze mocniej.

Ojciec — Józef Wiatr pracował u dziedzica w Stróżach. We wsi zyskał sobie duże uznanie, bo „sam z siebie" — jak mawiali tamtejsi chłopi, nauczył się czytać i pisać. Przychodzili więc ludzie do Wiatrów prosić o pisanie rozmaitych upominających się o chłopską krzywdę. Wszystko, co przeczytał we dworze i wyczytał w książkach, przekazywał dzieciom i sąsiadom.

Anna była ulubienicą ojca. Przejęła od niego życzliwy stosunek do ludzi i opiekuńczość. Ojcu marzyło się wykształcić córkę na nauczycielkę, a może uwyższ na adwokata, aby mogła skutecznie bronić ludzi od pańskiej krzywdy. Mimo pragnień rodziców Anna poprzestała na ukończeniu czterech klas szkoły ludowej parafialnej.

Mając dziewiętnaście dwa lata wyszła za mąż za Wincentawa Wątróbskiego, cenionego mularza z Przysłopia, działacza Polskiej Partii Socjalistycznej. Kiedy wybuchła I wojna światowa mąż musiał przebywać poza domem, odbudowując zniszczone miasta i wsie. Anna zaś mama upawiała rolę i wychowywała dzieci. Spłacała również długi hipoteczne. Mimo wielu zajęć znajdowała czas na czytanie książek, z których poznawała historię Polski i świata, w literaturze szukała odpowiedzi, jak należy żyć i urządzić ten świat, aby nie było w nim głodu, chorób, zniszczeń, aby ludzie byli szczęśliwi.

Ponieważ klimat w rodzinie tworzyli również jej bratankowie, głośni wówczas przywódcy młodzieży wiejskiej — Narcyz i Alojzy Wiatrowie, którzy przywozili Anne prasę i broszury. Regularnie czytała krakowski „Znicz" i warszawskie „Wici". Uczestniczyła w wielogodzinnych dyskusjach o przyszłości polskiej wsi, uczeni krewniacy z uniwersytetów, dyplomami literaz uznawali słuszność jej wywodów.

Dużą wagę przykładała do wykształcenia dzieci. Dla tego celu nie szczędziła trudu. Najstarsza córka Henia została nauczycielką, Adaś i Marian zdobyli wykształcenie zawodowe, Jasia nauczyła się krawiectwa. Karol po czterech klasach gimnazjum ukończył specjalistyczny kurs spółdzielczy. Zuzia do wybuchu II wojny światowej zdążyła dopiero przejść przez szkołę powszechną. Młodzi Wątróbscy z matczynej zachęty i porady brali aktywny udział w życiu miejscowego koła wiejowego. Niestrudzenie wpajała dzieciom poczucie godności osobistej, uczyła miłości do rodzinnej ziemi i ojczyzny.

„Córko, pamiętaj, żeś Polką!"

W chwili najazdu hitlerowskiego miała pięćdziesiąt trzy lata. Posłała na partyzancki bój wszystkie swoje dzieci, jak przedtem do pługa czy kosy. Oddała Polsce los, co miała najdroższe. Gdy nadchodziły chwile okrutnej kaźni, stygła w cierpieniu, szepcząc do syna: — *Kazek, tępiszmaj.* Zuzannie powiedziała: — *Córka, pamiętaj, żeś Polką!*

Kazimierz, żołnierz I Pułku Strzelców Podhalańskich, działalność konspiracyjną rozpoczął zaraz po powrocie z frontu. W domu Anny schodziły się partyzanckie dzieciaki, tu utworzono jeden z wcześniejszych punktów łączności konspiracyjnej ruchu ludowego i bazę rozdzielczą tajnej prasy. Bratankowie — Narcyz Wiatr „Zawojna" i jego brat Alojzy „Zawierucha" zwoływali u swej ciotki narady ziątkowe.

Wyprawiła i błogosławiła na drogę Kazka, gdy udawał się do stolicy na kurs dywersji bojowej Komendy Głównej Batalionów Chłopskich, a potem Zuzannę, udającą się na praktykę pielęgniarską do warszawskiego szpitala maltańskiego. Do służby sanitarnej Bataliónów Zielonego Krzyża skierowała Janinę „Czajkę". Dobrze wiedziała o wojennych wyprawach Mariana do lasu. W wolnych chwilach czyściła mu broń i smarowała wazeliną amunicję.

Ileż łzy tych gwałtownych uderzeń serca i bezustannego niepokoju Batalionów Chłopskich, z modzili z domu, szli do lasu. Nie opuszczała swoich progów, bo dokąd mogła pójść? Bronią ziemi, którą żywiła się i od od pokoleń ojcowie przelewali z ciepła rodzinnego. Cichy opór i odwaga były jej jednoznaczną odpowiedzią na hitlerowski terror.

Nie załamywała się nawet w momentach najcięższych prób na trzaka rozmowa. Nie miała żadnych wątpliwości, czy warto narażać życie swych dzieci, krew z jej krwi, cały dobytek gorzkim polem zdobyty. Pomimo wzmożonej obserwacji gestapo nie zatrzasnęły ani na chwilę drzwi swego domu przed partyzantami. W lutym 1944 roku Nierzy zamordowali w Jaśle ukochanego krewniaka — Alojzego Wiatra. „Sęp" i „Cygaska" byli już gorączkowo poszukiwani przez SS

Wspomina Bolesław Płaszek „Rożek"

— *W październiku 1943 roku oddział „Sępa" przeprowadził duże brawurowe akcje: na pracującą dla okupanta mleczarnię w Robotnej i na folwark w Wilczyskach. Rozchodząc się po akcji, zatrzymałem strzał żandarma, który natychmiast rzucił się do wieczka. Kiwał trafiła komendanta w okolicę pachwiny. Krwawił mocno, z trudem dotarł do swego domu. Matka wraz z siostrami znalazła go w zagrodzie. Opatrzyła ranę, przeniosła do krzyżówki w stodole, zawiadomiła podkomendnych i dobrego lekarza dr Czesława Wilczyńskiego, którym za zranienie czy nabicie żandarma grozia pacyfikacja wsi.*

Do rannego natychmiast przybyła partyzancka medyczka, Wanda Jankowska „Jaskier". Rozpoczęła przygotowania do operacji. W milczeniu spełniałyśmy jej polecenia. Zsunięte razem dwa stoły przykryłyśmy prześcieradłem, na którym położyliśmy przyniesione ze stodoły rannego dowódcę. W oknach zaczaili się nasi chłopcy z zamaskowanym erkaem. Operacja trwała długo. Nie mogłem powstrzymać wzruszenia. Wzdłuż stołu stała matka, gładziła jego twarz dłońmi, pragnąc całą siłą uczucia uśmierzyć okrutny ból... Po kilku tygodniach „Sęp" mógł już ekodzić i — ku naszej wielkiej radości — wyzdrowiał.

Cięższymi Anne Wątróbską jak swoje rodzone matka. Byliśmy do niej przyzwyczajeni, jak do kominka, którego tak troskliwie pałcała choroby płuc. Wymowna, zabawna rozmowa, żywiła. Nie zatrzymała do przy sobie, skoro zabliźniła się rana. Nie powiedziała pieszczotliwych słów — Zostań, syna. Prosiła go tylko, jak inne znane zwyczajnego na Polskę: — Synu, pamiętaj o swoim obowiązku. Moje dziecko! Proszę cię, walcz!

Rodzinna kara

W sierpniu 1944 roku do domu Wątróbskich w Wilczyskach przyjechała ich córka Helenka, po mężu Zielińska, z synkiem Jędrusiem. Syn Adama przybył pomóc rodzicom przy żniwach. „Sęp" i „Cygaska" znajdowali się na liście groźnej gestapo, trzymali się więc z daleka od domu.

O brzasku 28 sierpnia, Anna, jak co dnia, przebudziła się pierwsza. Jeszcze nie wzeszło słońce, gdy usłyszała warkot motorów, który w okupacyjnych czasie nie wróżył nic dobrego. Gwałtownie podbiegła domowników, aby uciekli w pola. Dzieci, posłuszne matczynym nakazom szybko opuściły dom. We wsi zaroiło się od niemieckich żandarmów i gestapowców. Anna i jej mąż Władysław zostali w zagrodzie, postanawiając wziąć na siebie ogień pytań i karów.

Wkrótce horda hitlerowców wpadła do izby. Przykoczyli do ojca z wyrzaskiem, pytając, gdzie jest syn Kazimierz? Gdzie Józef Wiatr, Adam i Marian, którzy nie zdążyli uciec, pobito kolbami. Okrwawieni leżeli na podłodze. Rozpoczęła się rewizja. Jednemu z braci Wątróbskich wmawiano, że który z nich jest pseudokiwanym „Sępem". Niemcy przywodzili wnuczka, Jędrusia, który tulił się do babci leżącej na podłodze.

Gestapo, żandarmeria i Ukraińcy z SS Galizien przetrząsali cały dom. Porzywali podłogę, powyrywali futryny okien, przedziurawili dach. Nie znaleźli broni ukrytej w stodole, w rece wpadła im jedynie apteczka polowa Zielonego Krzyża. Natarli na Anne usiłując biciem zmusić ją do mówienia. Ona — jak i wszyscy — milczała.

Po kilku godzinach poszukiwań i bicia załadowano na samochody oboje małżonków Wątróbskich wraz z synami Adamem i Marianem, krewnych — Zofię i Kamila, rodzeństwo Helenę „Wykę" i Tadeusza Barana oraz ośmiu chłopców z organizacji „Młody Las" Auta ruszyły w stronę Grybowa.

W opustoszałych zabudowaniach pozostali Ukraińcy i dokończyli dzieła zniszczenia. Zagrabili wszystko, co było żywe, zrabowali zboże, narzędzia i sprzęty.

Wieczorem na Matelance w otoczeniu uzbrojonych po zęby żandarmów rozegrał się ostatni akt straszliwej tragedii rodu Wątróbskich.

Zuzanna

Córka Anny — Zuzanna „Cyganka" w dniu rodzinnego dramatu przebywała w partyzanckim oddziale. Ludzie mówili o niej, że natura matki w nie zwiekotrolnia. Anna i Zuzanna miały wiecek wspólnych: odwagę, zdolność organizatorsk reflekszy, poczucie obowiązku i zwracającą powszechnie uwagę — urodę.

Wspomina Zbigniew Popowicz „Watra":

— *Zuzanska pseudonim „Cyganka" posiadał jeszlat. Miała czarne, jak węgiel oczy, śniadą cerę, ciemne warkocze, piękne białe zęby i nieco ziemny akcent. Należała do najlepszych żołnierzy poziemniej armii. Była szefem łączności w siedm podpórkach pocztach. Woziła z Krakowa przemeldunki, rozkazy i broń. Wszędzie jej było pełno. Nie było zadania, którego by się nie podjęła...*

Czterdzieści lat po śmierci jej matki, odwiedzam ją w domu przy ulicy Matejki w Nowym Sączu. Trudno jej mówić o matce, bo jest to wspomnienie bolesne, czułe, serdeczne, wskroś osobiste. Nie wyciąga na nią z oddali choć mnóżo już tyle lat. Nosi ją w sobie, lej przykazania i słowa

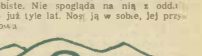

— *Mama wcześniejszy bez przerwy w moim życiu, jest nadal mi potrzebna — jak powietrze, słońce i chleb powszedni.*

Pani Zuzanna ma 65 lat. Od ośmiu lat jest na emeryturze. Kilka miesięcy po zakończeniu wojny awansowano ją do stopnia porucznika.

Zuzanna Wątróbska ma jedno marzenie. Aby pokolenie młodych Polaków zadumało się nad rodzinną przeszłością, wybierając z niej wzorce na swoją drogę życia. Ze wzruszeniem w głosie przywołuje na myśl matczyne słowa:

— *Każdy, kto pracował w konspiracji lub walczył w oddziale partyzanckim, miał swoje trudne do wypełnienie strachem i niepokojem, graniczącym rozpaczą, a ludzie byli ludźmi, jak dzisiaj. Jednak Spokój mamy przyjaracał nam wtedy odwagę. Jręce z kromką chleba, ciepły kąt w dżdżysta i mroźne noce, uśmiech serdeczny na przywitanie odchodzę spraszając, że nasza gorączność człowieczą i sens walki z przemocą.*

Nie pozwalała nam wigać się od codziennych obowiązków, przeszłać na cudze ramiona trudnych bierne patrzeć w krzywdę i gwałt. Ludzie Polski przekazała nam z pierwszą głoską ojczyzny mowy. Zapnęła, bo gardziła, zdrada, hańbą i upodleniem.

Należęcą radością jej życia były książki. Moje właśnie tam wyczytała, że nie wolno bezczynnie patrzeć na poniżenie i terror. Mówiła nam: — Ci was, młodych, całemy, aby chłopi nie byli tylko mierzwą historii w naszej ojczyźnie, za którą płaty się strumienie naszych ojców

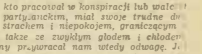

Słuchając wspomnień Zuzanny Wątróbskiej o swojej matce, nasuwa się pytanie pasażerów, przypominają się słowa Stanisława Konarskiego:

„Nie masz zasługi! To, co my zowiemy zasługą. Są tylko ku Ojczyźnie wypłacone długi".

TO BYŁ POCZATEK

Z doniesień prasowych, dokumentów politycznych i fragmentów książki Zbigniewa Załuskiego „Czterdziesty czwarty" — zestawionych przez Polską Agencję Prasową — wyłania się obraz pierwszych miesięcy Polski Ludowej. Warto po czterdziestu latach spojrzeć na ten nieupiększony zapis ówczesnych zdarzeń, programów i nadziei.

*

Rok 1944 — rok wyzwolenia i odrodzenia, rok Manifestu i wielkich bitew wyzwoleńczych na ziemiach polskich, rok znaczony dalami szynych bojów na frontach światowej wojny z faszyzmem i rok masowego zrywu zbrojnego na ziemiach polskich, rok powszechnej wojny partyzanckiej. Rok, w którym — zdaje się, że ch. co cyframi rękami zdobywali pierwsze pistolety w Warszawie. Ich, którzy radzieckim bazuteem przebijali się przez wzgórza za mgłą pod Lenino — prostowali grzbiety wszyscy przygnieceni dołąd strachem i drężczej biernością... I rozkwitły czerwone maki na Monte Cassino, te, co „z polskiej rosły krwi"; w zaszajniku na Wzgórzu Porytowym, w wreczyskach nad Tanwią paprocie zakwitły kwiną partyzantów, na wzgorzu Macicuza, pod Falaise, zamigotały „krwawe koszule" strzelców Pierwszej Pancernej, pił wodę z Renu polski człowiek spod Arnhem; a nad Wisłą chłopcy w panterkach „na smierć szli po kolei, jak kamienie przez Bogarzyanie na stanicie".

*

Z MANIFESTU PKWN

Rodacy!-Wybiła godzina wyzwolenia. Armia Polska obok Armii Czerwonej przekroczyła Bug. Żołnierz polski bije się na naszej ziemi ojczystej. Nad umęczoną Polską powiały znów biało-czerwone sztandary. Naród walczący z okupantem niemieckim o wolność i niepodległość stworzył swą reprezentację, swój podziemny parlament — Krajową Radę Narodową.

Wybiła godzina odwetu na Niemcach za męki i cierpienia, za spalone wsie, za zburzone miasta, zburzone kościoły i szkoły, za łapanki, obozy i rozstrzeliwania. za Oświęcim, Majdanek, Treblinkę, za wymordowanie getta.

Stawajcie do walki o wolność Polski, o powrót do Matki-Ojczyzny starego polskiego Pomorza i Śląska Opolskiego, o Prusy Wschodnie, o prawo dostęp do morza, o polskie słupy graniczne nad Odrą. Stawajcie do walki o Polskę, której nigdy już nie zagrozi nawała germańska, o Polskę, w

10 sierpnia

POLSKA ROZGŁOŚNIA W LUBLINIE

16 sierpnia br. zaczęła pracować polska rozgłośnia nadawcza w Lublinie. Audycje nadaje się na falach 377 i 224 w godzinach 21—23. Wiadomości dla radia, reportaże i kronikę przygotowuje Redakcja Polskiego Radia w Lublinie, Radio Polskie, Krakowskie Przedmieście 62.

15 sierpnia

POSIEDZENIE KRN

Pierwsze posiedzenie KRN w wyzwolonej Polsce odbyło się w odświętnie przyozdobionej balaczerownymi sztandarami i kwiatami sali reprezentacyjnej lubelskiej Rady Wojewódzkiej. O godz. 9.20 posiedzenie otworzył przewodniczący KRN, Bolesław Bierut. Przyjęto uchwałę, która m.in. mówi: *„Zebrani na pierwszym posiedzeniu KRN w wyzwolonej Polsce ślemy gorące pozdrowienia wszystkim krajom walczącym z najeźdźcą hitlerowskim o swoją wolność. Ślemy wyrazy podziwu i uznania zwycięskiej Armii Czerwonej, która bohatersko toruje drogę do wolności i niezależności. KRN wzywa wszystkich obywateli do jedności w walce o wyzwolenie ziem polskich".*

21 sierpnia

KOMUNIKACJA LOTNICZA

Resort komunikacji i telegrafu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego zawiadamia, że od 18 sierpnia na odcinkach Lublin — Białystok, Lublin — Przemyśl od 9 rano kursują samoloty „Douglas". Wg umowy z zarządem lotniska listy i przesyłki służbowe będą przesyłane przez specjalnych kurierów, natomiast listy prywatne należy nadawać przez miejscowe urzędy pocztowe.

1 września

ROK SZKOLNY

Rozpoczęto normalne zajęcia prawie we wszystkich szkołach podstawowych woj. lubelskiego, na terenie Lublina zorganizowano ogółem 10 gimnazjów, 1 liceum, otwarto pierwszą szkołę średnią dla dorosłych.

3 września

UNIWERSYTET LUBELSKI WRACA DO ŻYCIA

Nieliczni pozostali przy życiu profesorowie stworzyli tymczasowy senat uniwersytecki i organizują normalne życie akademickie. Praca ich znajduje żywy oddźwięk i pomoc tse wszystkich warstwach społecznych. Młodzież garnie się masowo do nauki, której przez tak długi czas była zupełnie pozbawiona. Egzaminy nastąpią wkrótce, wykłady zaczną się już w październiku. I znowu z kazdego Uniwersytetu popłynie polski strumień nauki.

6 września

Z DEKRETU O REFORMIE ROLNEJ

PKWN postanawia, a prezydium KRN zatwierdza co następuje:

I. Reforma rolna w Polsce jest koniecznością pustwową i gospodarczą, i będzie zrealizowana przy udziale czynnika społecznego zgodnie z zasadami Manifestu PKWN. Wobec tego, że znaczna część Polski pozostaje jeszcze pod okupacją, w obecnej chwili nastąpić może jedynie częściowy nadział ziemi w rozmiarze zależnym na terytoriach już wyzwolonych.

II. Przeprowadzenie reformy rolnej obejmuje:

a) upełnorolnienie istniejących gospodarstw o powierzchni niżej 5 hektarów użytków rolnych;

b) tworzenie nowych samodzielnych gospodarstw rolnych dla bezrolnych i pracowników rolnych oraz drobnych dzierżawców;

c) tworzenie w pobliżu miast i ośrodków przemysłowych gospodarstw dla produkcji ogrodniczo-warzywniczej, kolonii i ogródków działkowych robotniczych, urzędniczych i rzemieślniczych.

10—11 września

KONFERENCJA PPS

W Lublinie obradowała konferencja odrodzonej PPS, na której powołano Tymczasową Radę Naczelną i Tymczasowy Centralny Komitet Wykonawczy.

RADY NARODOWE

KRN uchwaliła ustawę o radach narodowych jako tymczasowych terytorialnych organach ustawodawczo-samorządowych oraz ustawę o zakresie ich działania.

14 września

PRAGA ZDOBYTA'

Wojska I Frontu Białoruskiego, po ciężkich walkach zajęły dziś przedmieścia stolicy Polski — Pragę, niezwykle silnie umocnioną punkt oporu na prawym brzegu rzeki Wisły, zajmując przy tym szereg pryzm miejscowości. W zajęciu Pragi brały udział oddziały I Dywizji Wojska Polskiego pod dowództwem generała Berlinga.

W nocy z 13 na 14 września lotnictwo Armii Czerwonej zrzuciło dla walczących w stolicy polskiej oddziałów partyzanckich 11 tys. ludzi, ponad 60 tys. broni i 1 200 granatów ręcznych. Operacje te trwały od godz. 9.00 wieczór do 6.00 rano i użyły w nich ulicznik 282 samolotów. Zrzutku dokonano w trzech miejscach na Żoliborzu, w centrum miasta i na Czerniakowie.

ORZEŁ BIAŁY NA WIEŻY RATUSZA'

Mieszkańcy Sandomierza obchodzili uroczyste święto zawieszenia na wieży

---

WŁADYSAŁAW BOCZOŃ (3)

GORLICKIE CZTERDZIESTOLECIE

Oprowadza nas „Szlakiem Historii" Edward Szewczyk: — Góra Zamczysko to jeden z najlepszych punktów widokowych na pasma górskie Beskidu Niskiego, Gorlickiego, Małinia, Ciemnej, Bartnej i Miejskiej Góry, przez pasma Magury Małastowskiej i Dziamerzy, przez Ferdel, Kornuty i Magurę Wątkowską aż po Mareszkę i Uberce. Ale daje zamczysko również dobry wgląd w niektóre położone u stóp góry dzielnice miasta. Stąd doskonale widać te kilka piękny krajobraz, lecz takie przemiany i dorobek 40-lecia. I jeśli za moich młodych lat kryte strzechą zagrody chłopskie, często nawet kurne, stanowiły podstawowe obiekty krajobrazu, to dziś nawet przy pomocy lornetki nie uświadczycie ani jednej strzechy. Dziś okolicorlicki krajobraz to krajobraz kraju zamożnego, rozwiniętego.

Dawniej Gorlice przysłonięte były garbem wzgórza Magdalena, zza którego sterczała tylko wieża kościoła i dachy niektórych domów. Dziś błoki opanowały i zajęły całą dolinę, a teren wzdłuż ulicy Zamkowej i Krakowskiej zaroił się pięknymi, murowanymi, krytymi w większości blachą domami jednorodzinnymi. To domy w przeważającej większości ludzi pracy, zbudowane przy pomocy finansowej i organizacyjnej państwa. A domy takie i takie zagrody rozsiane są gęsto po horyzont, w miejscie i okolicznych wioskach.

Czasem zamykam oczy, by wspomnieć krajobraz sprzed lat i kiedy koncentruję się na tej dawnej wieży kościoła z grupką domów, otwieram oczy na panoramę zabudowy miejskiej i przemysłowej ciągnącej się przez całą horyzont. Od budynków Zakładu Uzdatniania Wody w Ropicy Dolnej aż po kominy fabryczne i komin elektrociepłowni oraz zabudowę przemysłową ginącą w pobliżu Małeko na krańcu widnokręgu. Ze wzgórz widać najlepiej, jak miasto żarłocznie połera teren. Już wchłonięte są Łęgi, gdzie widać całe rojowisko domów jednorodzinnych, cały ośrodek służby zdrowia ze starym i nowym szpitalem, kompleks obiektów sportowych w rejonie ulicy Sienkiewicza, zespół pracowniczych ośrodków działkowych na wzgórzu Podzieska. Zabudowa sięga już daleko w teren Ropicy Dolnej, a nawet Szymbarku, polknięta jest już połowa Stróżówki.

A spójrzmy w kierunku cmentarza wojennego! Jeszcze dopiero w czasie pochylajcie się tam na wzór trzy łopa zboża, a ledwie się człowiek oglądnął już stoi prawie kompletne osiedle Korczak. Jego mieszkańcy tak się w swojego wszędzie pięknego widok na miasto! A gdy tam stanie okazały Pomnik Bohaterów! Gdyby jeszcze miały Gorlice dobrych i dbałych architektów, którzy umieliby i chcieli wykorzystać piękną rzeźbę terenu dla kształtowania sylwety i krajobrazu miasta...

Przechodzimy grzbietem Łysej Góry nad gęsto już zabudowaną Stróżówką. Spójrzmy raz jeszcze na rosnące miasto i pomyślmy dlaczego nie urządzili go tak należy możni i oświeceni Rylscy, Milkowscy i Płoccy?

Ratusza orła białego z pięcyma przechowywanego podczas okupacji. Uroczystość tę poprzedziła w Wawelskiej katedralnym. Msze św. celebrował biskup Kubiak, poczem wygłosił uroczyste kazanie. Po mszy św. utworzył się przed katedrą pochód z udziałem miejscowych władz i organizacji młodzieży szkolnej i mieszkańców Sandomierza. Na czele pochodu kroczyła orkiestra Armii Czerwonej, którą radzieckie władze wojskowe oddały do dyspozycji komitetowi organizacyjnemu.

16—23 września

NA POMOC POWSTAŃCOM

Jednostki I Armii WP wspierane przez Wojska Radzieckie utworzyły przyczółki na Czerniakowie i w innych punktach walczącej Warszawy.

26 września

ZSRR DLA LUDNOŚCI PRAGI

Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego został powiadomiony, że na podstawie postanowienia Państwowego Komitetu Obrony ZSRR ludności Pragi otrzyma bezzwrotną pomoc od Związku Radzieckiego w postaci 10 tys. ton mąki przekazanej do dyspozycji Polskiemu Komitetowi Wyzwolenia Narodowego oraz niezbędnych środków leczniczych.

28 września

WIZYTA W MOSKWIE

Przedstawiciele KRN i PKWN z Bolesławem Bierutem na czele spotkali się w Moskwie z Józefem Stalinem. Spotkanie związane było z toczącymi się wstępnymi rokowaniami dotyczącymi przyszłych granic Polski i pomocy ZSRR dla Polski.

30 września

WYTYCZNE

PKWN wydał wytyczne organizacyjne dla przemysłu w Polsce — akt przewidujący faktyczne przejęcie przez państwo przynależności części wielkiego przemysłu.

*

Zbierane zbożem z pół strzałowanych przez czołgi, opalonych wybuchami, niszczące zbiorami że snop, między okopami i stanowiskami dział, nawet z „siemiczyjem" na froncie. Oranoe, siano ekininy. Obok radzieckich wojskowych brygad kolejowych stawali polscy kolejarze, rozdarte specjalnym pługiem tory przejęły znów parowozy i pociągi, ładowane pomiędzy listy. Otwarcie kolei. Komitety fabryczne, robotniczo-inżynierisko-administracyjne „krójki kierownicze" nie troszcząc się o prawo własności uchwaliły fabryki, bodaj na część produkcyjnej mocy.

Nie było surowców i nie było specjalistów. Nie było taboru kolejowego i nie było koni. Nie było czym płacić i funkcjonariuszom nowej władzy, i nauczycielom, i robotnikom; nie było w co ubrać miast i miasteczek.

2 października

UPADEK POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

W dniu 2 października 1944 roku został zawarty układ o zaprzestaniu działań wojennych w Warszawie. O podpisie 20-ta sztuka oddziałami wojsk wiedzy polskiemu oddziałami niemieckimi w Warszawie a oddziałami niemieckimi.

Walka skończona. Zamknięty został przeszło 2-miesięczny okres jednej z najszczytniejszych i najtragiczniejszych rozdziałów kart naszej historii. Za uczestnie jeszcze na obiektywny sąd o tym okresie. Rachunek naszych strat i zysków, zasług i błędów, ofiar i czynów wartości — przekazać musimy historii.

*

Sławą okryły się polskie szeregi na wszystkich frontach, we wszystkich bitwach roku 1944 roku na polskiej chwały. Niezwykłym męstwem zabłysnęli żołnierze polscy, walcząc raniej przy ramieniu z żołnierzami kiłkuset sojuszniczych narodów. Wielki i ważny wkład wnieśli w historyczne operacje, znaczne sukcesy osiągnęli w osiągnięciu znacznych sukcesów sojuszniku dopomogli. Zwyciężali i wygrywali.

Tylko — przegrała Polska: przegrała stolicę. Przegrała niezmierzony mak ludzi narodowy. Przegrała życie 200 tysięcy mieszkańców Warszawy. Przegrała dużą część najlepszego swego potencjału — tych, wówczas młodych, którzy pełnych zapałem, niezłomnych swą wiarą.

12—13 listopada

KONFERENCJA PPR

Obradowała konferencja PPR poświęcona realizacji reformy rolnej, zadaniom partii na wsi oraz zadaniom partii w organizowaniu sił zbrojnych Polski. Podjęto decyzję o ogłoszeniu ochotniczego zaciągu do WP i skierowaniu do szkół oficerskich i podoficerskich 10 tys. robotników.

BRACIOM ZA WISŁĄ NA POMOC

Straszliwe wieści dochodzą nas z drugiej strony frontu. Niemcy wiedzą, że to ostatnie dni ich panowania na polskiej ziemi. Niemcy wiedzą, że huk dział na bliskich Prus Wschodnich i na węgierskiej równinie — to zapowiedź niedalekiego ich końca. Jak szaleniec w przysłędze furii. Niemcy niszczą wszystko dokoła siebie. Ucieknięcy z drugiej strony frontu mówią o paleniu całych miast i osiedli, o mordowaniu ludności, o gwałceniu kobiet, o zwajaczych bez przemowy rabunkach, o wywożeniu fabryk i warsztatów.

Najstraszniejsze jest zniszczenie, jakiego Niemcy dokonują wśród ludności. Chodzi już nie o tępienie inteligencji, o tępienie działaczy politycznych i społecznych, o najbrutalniejsza chociby walkę z polskim ruchem wyzwoleńczym. Co zrobiły Niemcy, czym grożą Trzeciej Rzeszy 5-letnie, 6-letnie dzieci umierające dziś masowo w obozach koncentracyjnych podobnie matek wywiezionych do Rzeszy.

22 listopada

POWSTAŃIE TPPR

Odbyło się zebranie Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, na którym zebrani zatwierdzili statut towarzystwa oraz dokonali wyboru zarządu.

6—12 grudnia

ROZMOWY W MOSKWIE

Przebywające w Moskwie delegacja KRN i PKWN pod przewodnictwem Bolesława Bieruta przeprowadziła rozmowy z Rządem ZSRR na temat stosunków między obu państwami.

WSKRZESZONY PRZEMYSŁ

4 miesiące temu, gdy zaczynaliśmy odbudowywać gospodarkę przemysłową na terenach wyzwolonych, na każdym kroku napotykaliśmy zniszczenia. Dziś, po 4 miesiącach pracy możemy śmiało powiedzieć, że wypełniliśmy zadanie. Wszystkie miejscowościom dostimy prąd elektryczny.

W Lublinie dopomogliśmy do uruchomienia przemysłu metalowego. Podłączyliśmy kilkanaście garbarni w jedną organizację produkcji pod nazwą Centrala Garbarń pod zarządem powierzonym państwowym. Przemysł szklany uruchomiliśmy w szeregu miejscowościach.

W szeregu miejscowościach uruchomiliśmy cukrownie. Jest czynna drożdżownia w Lublinie. Na terenie dawnego COP zastaliśmy większe zakłady przemysłu ciężkiego i metalowego w stanietak zniszczonym, że mimo gigantycznego wysiłku z naszej strony zdołaliśmy je odbudować w zaledwie 15 proc. Na szczególne podkreślenie zasługuje stanowisko robotników, którzy wszędzie wydatnie pomagali tryu uruchomieniu przemysłu.

16 grudnia

GOMUŁKA O DEMOKRACJI

Polska Partia Robotnicza walczy o to, aby przez grze politycznych zabezpieczyć szerokim masom pracującym ich byt ekonomiczny, zabezpieczyć im prawo gospodarza w kraju. Hasło najważ parti przekazanie ziemi obszarnicy czej w ręce chłopów i robotników rolnych jest już realizowane przy wydatnym wsparciu i pomocy wszystkich sił organizacji partyjnych. Robotnicy fabryczni i pracownicy umysłowi nie mogą być przedmiotem niczym nie ograniczonego wyzysku ich pracy. Muszą być współgospodarzami swoich zakładów pracy. Polska Partia Robotnicza walczy o to, aby nauka i szkoła przestały być monopolem warstwy uprzywilejowanych, a stały się dostępne dla najszerszych warstw ludowych z miasta i ze wsi. Polska Partia Robotnicza walczy o gruntowną przebudowę w duchu demokracji i zgodnie z interesami warstw ludowych i pomocy wszystkich sił politycznego, gospodarczego i kulturalnego.

31 grudnia

UTWORZENIE RZĄDU TYMCZASOWEGO

31 grudnia 1944 r. na posiedzeniu Krajowej Rady Narodowej zostałą jednomyślnie uchwalona ustawa o powołaniu Rządu Tymczasowego Rzeczypospolitej Polskiej. Prezydent Krajowej Rady Narodowej Bolesław Bierut powierzył mizę utworzenia. Tymczasowego Rządu Edwardowi Osóbce-Morawskiemu.

*

ODBUDOWA WARSZAWY

Krajowa Rada Narodowa widzi w Warszawie stolicę niepodległego państwa polskiego. Ruiny Warszawy są symbolem niezłomnej woli ludu polskiego o wolność i demokrację, walki, którą prowadziła stolica poprzez wszystkie powstania, obronę 1939 roku i okupację hitlerowską. W Warszawie kształtowała się i organizowała demokratyczna myśl polska. Warszawa była ośrodkiem nauki, kultury i sztuki polskiej.

Wobec powyższego, Krajowa Rada Narodowa uważa, że odbudowa Warszawy jest jednym z zasadniczych zadań państwa w dziele odbudowy kraju.

Krajowa Rada Narodowa wita powstanie Komitetu Odbudowy Warszawy i poleca rządowi udzielić mu wszelkiej pomocy w przeprowadzeniu odbudowy stolicy.

*

BILANS WIELKICH PRZEMIAN

Rok 1944 przyniósł przede wszystkim decydujące pociągnięcia militarne. Od wschodu i zachodu ruszyły potężne ofensywy armii sprzymierzonych ku granicom Trzeciej Rzeszy, ze wschodu i zachodu całyby się ku wbiciu kraiwi resztki armii niemieckiej, bite, otaczane, brane masowo do niewoli. W ciągu roku Armia Czerwona uwolniła część Polski, Węgier i Czechosłowacji, Rumunię i Bałkany. W ciągu roku wojska angielskie i amerykańskie uwolniły Francję, Belgię, Holandię i część Włoch. Rok 1945 ustał armie sprzymierzonych gotowe do ostatecznego uderzenia. Klęska Niemiec jest już nie tylko pragnieniem uciskanych przez okupanta ludów Europy, ale stała się wreszcie oczywistym faktem dzięki militarnej i gospodarczej przewadze sprzymierzonych. Wojny ku końcowi zbliża się tylko zwycięstwo militarne. Wojna kończy się także politycznym zwycięstwem demokracji, wyzwoleniem postępowych grup społecznych.

We Francji, we Włoczech, na Bałkanach i w Polsce wkraczającym armiom sprzymierzonym pomagały w walce organizacje bojowe, zorganizowane jeszcze w warunkach konspiracyjnych pod okupacją przez postępowe grupy społeczne, przez demokratyczne partie. We wszystkich krajach oswobodzonych społeczeństwa przystępują do dokonania najistotniejszych w jej życiu reform, do budowy nowych, demokratycznych instytucji państwowych, do zaleszłoszania tego, co potężny ruch masowy, ruch oporu i walki o niepodległość rozpoczął rok temu, jeszcze pod niemiecką okupacją.

TO BYŁ POCZĄTEK

Ulicą Złotogórską schodzimy do arteri na Tamnów, ulicy Sowińskiego, by przejść od zachodu na wzgórze Korczak, w połowie zajęte przez obszary związane z historią, przez cmentarz żydowski — Kirkut na szczyt z cmentarzem wojennym z 1918 roku. Cmentarz zdewastowany przez hitlerowskie bestialstwo żydowskiej jest w stadium porządkowania.

Swoją budy przekaźnika telewizyjnego wychylamy głowy olśnieni nowym widokiem. Tu, pod muru historycznego cmentarza, mamy jak na dłoni źródło sukcesów miasta: potężny przemysł. To on wdzięcz życi ludzi ze ben poza widnokrąg, to on żywi także nasze miasto!

Za moich młodych lat było tu całkiem inaczej. Przy budynku dworca kolejowego wznosiły się budowania (wszczerze „Poreba" (dawniej Starczanki), dalej tartaku Gellera, a następnie ciągnęły się pola aż do budynków Rafineri. Nad Ropą od ujścia Strzóżowianki aż do Glinika do boiska „Kałpatii" rozciągały się tzw. pola Młodeckich. Dziś cały teren, jak okiem sięgnąć, zajęty budynkami. Znikł tartak; w tym miejscu rozbudował się „Poreb". Dalej powstały nowe zakłady: Zakłady Materiałów Izolacyjnych „Matizol" oraz potężne hale i plac montażowy Wydziału Konstrukcji Stalowych Fabryki Maszyn Górniczych. Z drugiej strony wyrósł okazały budynek administracyjny i socjalny „Glinika". W Rafineriji zbudowano wydział destylacji rurowo-wieżowej, dobrze widoczny w panoramie miasta. Od potoku Stróżowianki do ulicy Okrzei powstało całkowicie nowe Osiedle Młodych, dalej międzyzakładowa Przychodnia Specjalistyczna. Zespół Szkół Przyzakładowych Fabryki Maszyn i Dom Kultury (dziś siedziba Wojewódzkiego Instytutu Kultury). Na horyzoncie widoczne są obiekty najmłodszych wydziałów Fabryki Maszyn: Elektrocieplowni i Kuźni, a dalej Fabryki Domów, Zakładów POLMO i teren bez zakładowych w przyłączonej do Gorlic części Zagórzan.

Na wzgórzu na północnym zachodzie powstało pierwsze powojenne osiedle — „Osiedle Górne", całkowicie nowy Zespół Szkół Mechanicznych i Zawodowych oraz Dzielnica PKS.

Na szczęście dla mieszkańców Gorlic udało się uniknąć poważniejszych błędów przy budowie nowego miasta, wskutek czego zabudowa mieszkalna jest odseparowana od zabudowy przemysłowej i składowej.

Na osi ulicy Gwardii Ludowej powstały kolejno: w zmodernizowanej „Bucianmi" Zakłady Motoryzacyjne „Polmo", rozbudowana cegielnia, Szkolne Warsztaty Mechaniczne, Spółdzielnia „Motor", Zakład Drzewny i Meblarski Spółdzielni Inwalidów „Cel". Po prawej zmodernizowana Fabryka Papy, Ośrodek Przetrzymywania Bazy Rolniczej, magazyny spożywcze, baza MPGiKiM i PBK. Dawniej ulica Gwardii Ludowej nazywała się Polna, jako że przebiegała przez puste pola.

Ale ość będę tak wyliczał. Z tego wzgórza widać, że to nie cały teren miasta. Bo prawie wszystko co mamy w mieście, jest nowe lub przynajmniej zmodernizowane.

Podziękujmy zasłużonemu burmistrzowi za wielce pouczający spacer. Szlak historii prowadzi dalej przez dzielnicę Glinika, przechodzi dalej na wąską wiązaną na prawy brzeg Ropy i dalej przez wzgórza parkowe i teren sportowe ulicą Obrońców Stalingradu przez Wielkie Schody pod siedzibę PTTK.

Rzeczywiście wyliczanie nowych obiektów w mieście zwiadł jeszcze długo. Bo prawie wszystko, że powstały całe nowe zespoły szkół, placówek służby zdrowia, handlowych i usługowych. Powiemy o nich przy innej okazji.

Obchody 40-lecia PRL w naszym mieście w połączeniu z 630 rocznicą jego założenia dają asumpt do udostępnienia społeczeństwu szerszych informacji o rozwoju miasta w przeszłości i o zamierzonych na przyszłość.

Mamy nadzieję, że dzisiejszy krótki spacer wędrzami wokół miasta był pożyteczny. Jeśli pobudził do myślenia nad przeszłością i przyszłością miasta, jeśli unaocznił, że czas 40-lecia nie był w Gorlicach martwym okresem, że wiele zrobiono dla miasta w rozwiązywaniu jakże licznych problemów — uznać będziemy mogli, że zamiar nasz został spełniony.

Jerzy Harasymowicz

W górach

W górach jest wszystko co kocham
Wszystkie wiersze są w bukach
Zawsze kiedy tam wracam
Biorą mnie klony za wnuka

Zawsze kiedy tam wracam
Siedzę na ławce z księżycem
I szumią brzóz kropidła
Dalekie miasta są niczem

Ja się tam urodziłem w piśmie
Ja wszystko górom zapisałem czarnym
Ja jeden znam tylko Synaj
Na lasce jałowca wsparty

I czerwień kalin jak cyrylica pisze
I na trombitach głosi bór
Że jedna jest tylko mądrość
Dzieło zdjęte z gór

Fot. JERZY ŻAK

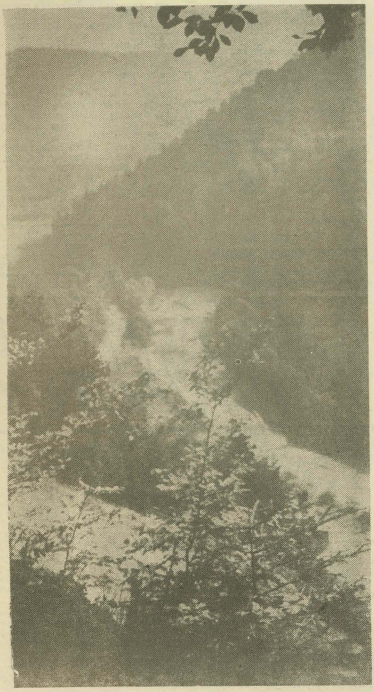

Fot. MIECZYSŁAW STASZEWSKI

Ludomir Mazela

Na tej górze...

Na tej górze cisza – i nic,
spokój czarnych kamieni.
Nawet stawać nie trzeba, lecz iść
pod strażą własnych cieni.

Niepotrzebny i śmieszny twój płacz
nad kosteczką z popiołów wybraną.
Lepiej unieś powieki i patrz
na wstające przed nami rano.

Po co wracać i wracać na szczyt
i z uporem przesiewać minione,
tutaj ciebie nie było, anim ja tutaj był,
tylko glazy w piach porzucone.

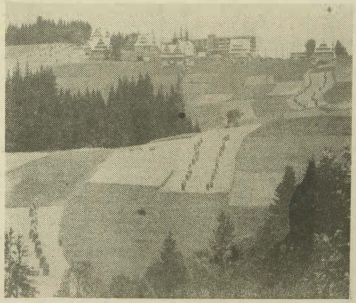

Fot. MIECZYSŁAW STASZEWSKI

Emil Kowalczyk

Naucyłaś mnie, matko...

Naucyłaś mnie
matko moja
miyłować ziymie rodno
jako zycie twardo

Naucyłaś mnie moja matko
sanować ludzi
prostyk i robotnyk
ktorzi jako te pscoły
nie jacy prze siebie
sie trudzo

Wykormiyłaś mnie matka
ludu mowom
w ktory
ni ma pustyk dźwiynków
ani tys słów
znacącyk dwojako

Pokozałaś mi
matko moja
świat zwyku downega
przepiykny
jako
uśmiych stającega
nad Tatrami
raniutko słonecka

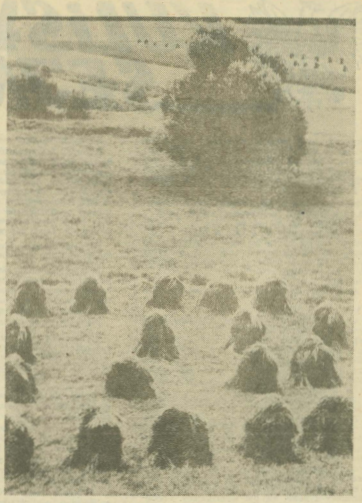

Fot. MIECZYSŁAW STASZEWSKI

Fot. WŁADYSŁAW PECIAK

Maria Stefanowska

Jerzemu Harasymowiczowi

Widziałeś? Widziałeś świat o kaprawym oku
Z wywalonym jęzorem na milę
Za tobą, za twoimi plecami?
I tylko odwróć się
Ujrzysz
O taki
U-śmie-śmie-śmie--śmieszek
I słówka – przylepce
Lgną do ciebie
Słowa – słówka – słóweczka – słóweczka!...

Ech, trzepnąć twardym, topornym, zbójeckim,
Dopomóż, święty Jerzy!

Fot. MIECZYSŁAW STASZEWSKI

Jan Fudala

Poorkanie

Pogórze polskie
w nim stare rymy
młodość mi tulą
beskidzkie dymy

Ogniowe watry
najbardziej polskie
gdzieżeś ojczyzna
z niejedną blizną

Jam z Poorkania
mam do rozdania
bogactwa stare
hołnego gwarą

Smrekami szumi
gorczańskie życie
we mnie miłośnie
tak na zabicie

Paciorki klepie
hań na nalepie
dziadek stary jak bór

Na wieczność całą
mam z nim przymierze
bo tak jak w Boga
ta w góry wierzę
Haj

CUD SEJMU

Przyjmuje mnie starszy, wytworny pan, który do dłuższej czterdziestki lat jest ważną tutaj postacią. Zarządzał odbudową, przyjmował posłów, dygnitarzy, cesarzy i królów. JÓZEF GACZKOWSKI. Wieloletni administrator Sejmu, dyrektor i doradca ministra.

— Patrzę na ciemne ściany gabinetu, na dopasowane do nich gobeliny, na czarne gdańskie meble.

— Jeździliśmy po nie aż na Pomorze. Z pasieki, w kieszeniach i z... wózka w bagażniku dostrzeli, na bardzo jeszcze wówczas niebezpiecznych drogach. Oczywiście, wszyscy mieliśmy specjalne przepustki, ale co to żołnierzy obchodziło? Mogliśmy być, na przykład, szabrowikami, prawda?

— No, tak.

— A w ogóle, to są meble z sekretariatu Bieruta.

— ?

— Ależ tak! Musiał mieć urząd w odpowiednie oprawie. Zaraz po wojnie zaczęły się wizyty i trzeba było w czynił przyjmować. Chociaż pisał Bierut nie przywiązywał specjalnej wagi, podobnie jak Gomułka, do pompy i wystawności. Obaj byli ludźmi nadzwyczaj skromnymi i tej skromności wymagali wręcz otoczenia. Zresztą i zaszy urządzały do liczenia się z wydatkami.

— Jacy byli posłowie tamtych czasów? Jacy byli politycy?

— Proszę pani, ja poznawałem przebywających tutaj z najlepszej strony. W tej mojej „kuchni" sejmowej, na bardzo jeszcze wówczas niebezpiecznych drogach. Oczywiście, wszyscy mieliśmy specjalne przepustki, ale co to żołnierzy obchodziło? Mogliśmy być, na przykład, szabrowikami, prawda?

— A w ogóle, to są meble z sekretariatu Bieruta.

— ?

— Ależ tak! Musiał mieć urząd w odpowiednie oprawie. Zaraz po wojnie zaczęły się wizyty i trzeba było w czynił przyjmować. Chociaż pisał Bierut nie przywiązywał specjalnej wagi, podobnie jak Gomułka, do pompy i wystawności. Obaj byli ludźmi nadzwyczaj skromnymi i tej skromności wymagali wręcz otoczenia. Zresztą i zaszy urządzały do liczenia się z wydatkami.

— Jacy byli posłowie tamtych czasów? Jacy byli politycy?

— Proszę pani, ja poznawałem przebywających tutaj z najlepszej strony. W tej mojej „kuchni" sejmowej, na bardzo jeszcze

Budownictwo jest dziś podstawą gospodarki, na której ciąży szacunek ludzi wielu lat. Tak jak kiedyś stawiono bez umiaru romantykę budowli, ich rozmach i tempo, tak obecnie w obiegu mówi się o nowym ideale, pisze o pośliwach, balaganie i niemocy. Zaskakująco zabrzmiały więc w ubiegłym miesiącu słowa podchodzące pod adresem „Chemobudowy" W Krakowie, Tarnowie i Nowym Sączu — wyjątkowo zgodnie — z okazji jubileuszu firmy wypowiedzieli się o niej publicznie zarówno oficjele, jak i użytkownicy obiektów wzniesionych w ciągu 35 lat.

Zaniim wybrałam się na uroczystą akademię — ale w tej regule jak na weselu nie mówi się o niedostatkach panny młodej — odwiedziłam bez uprzedzenia jedną z sądeckich firm budowlanych, zlokalizowaną na Zielonej Górce. Na Wólce, na zlecenie spółdzielni mieszkaniowej „Beskid", powstaje 8 budynków po 21 mieszkań każdy. Zadaniem pozostałe zorganizowaną robotę którą kieruje inż. **Janusz Lupa**. Wcześniej to samo stwierdziliśmy na budowie dużej piekarni wznoszonej dla spółdzielni spożywczo „Społem". Był więc powód żeby spotkać się w dyrekcji i zapytać, co jest przyczyną, że firma ta nie przeciwności trapiących budownictwo „chemobudowa" nie musi świecić oczyma wobec swych kontrahentów

*

Oszczędzę Czytelnikom kolejnych nazw, pod którymi występowała ta przedsiębiorstwo od roku 1949. Faktem jest, że i ono nie uchroniło się przed rozmaitymi reorganizacjami, które stawiczenie niszczą tradycje i rozrywają więź łączące ludzi. Nigdzie na świecie nie zmienia się tak bezrtosko znaczu firmowych i nazw. Mimo owych zmian, pracownicy firmy wspomnieli na nią potocznie mówi się o krakowskim przedsiębiorstwie nie po prostu — Chemobudowa. A pamięta się szerokł zasięg jego robót.

Wspomnijmy chociaż niektóre: modernizacja i rozbudowa tarnowskich „Azotów" oraz Zakładów Chemicznych w Oświęcimiu, uzdatnianie wody dla Śląska, fabryka domów w Bieżanowie, centrala telefoniczna i nowoczesna drukarnia w Krakowie, ośrodek telewizyjny na Krzemionkach, obiekty przemysłowe w Mielcu i Szczekocinach. Liczne fabryki z różnym profilu produkcyjnym na granicy, obecność na szandarowych inwestycjach kolejnych pięciolatek. Huta Katowice, stalownia w Zawierciu.

Uzupełnia tę listę inż. **Kazimierz Groń**, szef wielkiego zespołu budów na terenie naszego regionu: — W roku 1952 — klęczaśkie kamieniołomy nane dziś jako Kopalnia Skalnych Surowców Drogowych; następnie powłoka Hart w Szaflarach, w Biegonicach — Sądeckie Zakłady Elektrod Węglowych i w sąsiedztwie Zakłady Naprawy Autobusów oraz Zakłady Ceramiki Budowlanej; rozbudowa i modernizacja ZNTK, Zakładów Przetwórstwa Owocowo-Warzywnego i Zakładów Mięsnych; Oddział Transportu Leśnego w Starym Sączu, Zakłady Stolarki Budowlanej w Grybowie. Na budowaliśmy dotychczas tylko w Gorlicach...

— *Co robicie dzisiaj? Do czego się przymierzacie?*

— Oddaliśmy dopiero co nakład przetwórczy Wojewódzkiej Spółdzielni Ogrodniczo-Pszczelarskiej i kolejną halę oraz magazyn żywca w sądeckich Zakładach Mięsnych. Kontynuujemy budowę Mocznl, zamrażalni i rozlewni soków w SZPOW, pod koniec roku będzie gotowa 12-tonowa piekarnia mechaniczna w Nowym Sączu; budujemy ujęcie wody w Starym Sączu, Zakład Ceramiki Budowlanej nr 3, szkołę rolniczą w Tęgoborzy i blokl dla spółdzielni mieszkaniowej „Beskid". Będziemy wznosić do roku 1990 halę odlewnią w ZNTK, jesteśmy od lat w Ciężkowach, edzie robimy m. in. kruszarnię i bocznicę kolejową. Przygotujemy do budowy obiektów dla ZUS-u, — Był czas, kiedy do rozbudowy SZEW-u, choć prywatnie sądzę, że nakłady uciążliwe dla środowiska naturalnego nie powinny się w naszym regionie rozwijać. Są w naszych planach obiekty służby zdrowia dla Krynicy...

— *Ile ludzi zatrudniacie?*

— Siedmiuset. Dają oni roczną produkcję wartości dwudziestu siedmiu zlotych. A pozostałe 1200 osób pracuje na budowach w RFN, Austrii, Czechosłowacji, Bułgarii, NRD, na Węgrzech i ostatnio także w ZSRR.

— *Żeby sprostać zadaniom trzeba chyba mieć o rozbudowie własnego zaplecza technicznego?*

— Po wielotetnich staraniach, po zatwierdzeniu czterech kolejnych planów dodatkowych zaczęliśmy budować Gorzkowie. Ułatwi nam to życie. Do tej pory przy każdej inwestycji musieliśmy tworzyć zaplecze, następnie je likwidować i przenosić się na nowe miejsce. Za trzy lata — przy finansowym wsparciu ZNTK — dorobimy się stałego zaplecza technicznego. W tym roku chcemy uruchomić bazę transportu i sprzętu.

— *Jakie czynniki złożyły się na dobrą opinię o Waszej firmie?*

— Dotrzymywanie ustalonych terminów, nie zaharanie ludzi na budowy wspomagane na ruszą, niezgorsza jakość wykonawstwa (mimo niskiej jakości dostarczanych materiałów budowlanych; ciągle obowiązuje przedwojenne przepisy, przewidujące np. zlecenie robót na podstawie przetargów.

Ten elastyczny system pozwał uleczać usytuwieniu po 1950 r. kiedy to budownictwo nowych obiektów wyłączono remonty i prace budowlane małych firm. Zaczęto tworzyć wielkie państwowe przedsiębiorstwa budowlane i uruchomiono do przymowania indywidyczne kontraktorów, opracowano nowe cenniki i normy. Jednocześnie jednak w technice budowlanej, w obiekt wzniesionych w ciągu ostatnich lat, zaczęto na racjonalizację pracy ręcznej (słynne „trójki murarskie") i proste rozwiązania konstrukcyjne oraz materiałowe, dostępne na każdym kroku. Temu przede wszystkim należy przypisać niewątpliwie (tu, odbudowa Warszawy) sukcesy polskiego budownictwa, jego rozmiary i tempo.

Nad dalszym rozwojem budownictwa zaciążyła jego służebna rola wobec rozwijającego się pozamysłu letniego systematycznie podporządkowywano budownictwo mieszkaniowe i usługowe. Popyt na roboty przemysłowe przewyższył wolniej rosnący zasób mocy produkcyjnych wykonawczych, bo mimo bezprzykładnego ograniczenia planów budowy nowych inwestycyjnych budownictwo zwiększyło zdolność produkcyjną wykonawców.

Kryzys w budownictwie ma wiec głębokie korzenie. Koszty tego zrodzenia w drodze wciąż dokonywanych zmian, czy rażącej ich pozorności, są bardzo wysokie.

Podwoje, którzy na posiedzeniu sejmowej Komisji Budownictwa w ten sposób oceniła stan budownictwa, największe zło upatrują w dzisiejszych forsiaczych trzeba odlot żeby „napozać" normalny dzień produkcyjny.

Wspomnę przy okazji, że dziwnie mnie również mentalność informacji prasowych przekazywanych przez lacowskie, a dodatkowo w imieniu przekręconych przez dziennikarzy.

— *W ten sposób wyjaśniło się, dlaczego nie miał Pan ochoty na tę rozmowę... Spytam jeszcze tylko, czy uzyskby Pan zwrot firmy za ajencję?*

— Trudno pytanie... W pierwszym odruchu pomyślałem, że tak. Ale po namyśle odpowiadam — nie. Przepisy są nieztłe, jak komuś jest za drogo, zawsze można się nim dobrać do skóry. Ponadto tutaj działam zgodnie z prawem, a będąc ajentem musiałbym niejednokrotnie omijać przepisy. Bo jak legalnie zdobywać materiały i paliwo na tak wiele frontów robót jednocześnie? Natomiast mógłbym wziąć w ajencję jakieś budowle. To byłoby możliwe przy odpowiedzialnosbroe ludzi i dobrej organizacji pracy gwarantującej wysoką jakość i wydajność.

*

Już po roznowie z Kazimierzem Grońiem trafiłam na publikację o krakowskiej „Chemobudowie" z początków poprzedniej dekady. Już wtedy inż. Henryk Prajbisz mówił dziennikarzowi o konieczności podziania własnego zaplecza i transportu, bo wyższa ksza to operatywność przedsiębiorstwa i uniezależnia od kaprysów partnerów i wprowadzone od lat w „Chemobudowie" próbcie nad ustabilizowaniem się załogi i ukształtowania zdrowego „patriotyzmu lokalnego" pracowników; systematycznym „spowiadaniu" marudrów; o ludzkim podejściu do każdego człowieka załogi.

Znalazłam w tamtym tekście fragment, który nie stracił na aktualności: „Technik posługiwania się maszynami uczą w szkołach, umiejętność racjonalnego organizowania pracy też od biedy tu i ówdzie uczą. Ale serdecznego, wyrozumiałego, ciepłego słosunku do drugiego człowieka nie zdobywa się wraz z dyplomem. Długo jeszcze będziemy szukać recepty na sprawne socjalistyczne przedsiębiorstwo. U początku tych poszukiwań musi być zawsze człowiek, zaspokojenie jego wielorakich potrzeb i aspiracji. Najlepsza maszyneria musi stanąć bez ruchu, jeśli szwankuje któryś z jej drobnych nawet elementów. W procesach produkcyjnych człowiek jest ciągle najważniejszą częścią".

W przypadku „Chemobudowy" najwidoczniej z dbałością o ludzi nie było źle. Szczególnie w kryzysowych latach załogi rozrzucone po odległych budowach wykonują swoje zadania, a zewsząd sypią się pochwały.

BARIERY

Próby dokonania zmian w budownictwie, zwłaszcza mieszkaniowym przyjmowane są z oporem wielkim zadowoleniem, jak i niewiarą w ich skuteczność. Kryzys w tej dziedzinie jest po prostu tak rozległy, że łatwiej dobre wyobrazić, aby nastąpiła szybka poprawa. To prawda — cuda nie należy i nie można się spodziewać. Dobrze wyczuwalne zmiany, że okażą się wątpliwe, jeżeli w podłożu budowlanej forsowane będą zmiany gospodarcze.

Zmiany, jest głosowanym wartu przypomnieć, jak polityka budowlana przedstawiała się w minionych latach. Po wojnie istniała pełna zgodność między celami uprawianej wówczas polityki budowlanej a rzeczywistymi możliwościami i rozmiarami. Mimo przegrzmnych zniszczeń kraju — 40 proc. majątku trwałego Polski zniszczono, lego w gruzach stało wywiezione — nadrzędnym celem było jak najszybsze odbudowanie miast i wsi. Sięgnięto po wszystkie dobre do podjęcia pracy w budownictwie, nie wyłączając pracy ochotniczej. Zgodnie z zasadami obowiązującymi do 1948 r. „wolnego" modelu gospodarczego — wykonawcami robót były przedsiębiorstwa prywatne, spółdzielcze oraz nieliczne jeszcze państwowe. Jaka wiare przywyższano do budownictwa — dowodzi fakt, że dobrzej z nacjonalizacji podstawowych gałęzi przemysłu i usług wyłączył spod uwaszczenia nawet wielkie przedsiębiorstwa budowlane, zatrudniające, wiele osób nowe cenniki i normy. Jednocześnie jednak w technice budowlanej, w obiekt wzniesionych w ciągu ostatnich lat, zaczęto na racjonalizację pracy ręcznej (słynne „trójki murarskie") i proste rozwiązania konstrukcyjne oraz materiałowe, dostępne na każdym kroku. Temu przede wszystkim należy przypisać niewątpliwie (tu, odbudowa Warszawy) sukcesy polskiego budownictwa, jego rozmiary i tempo.

Nad dalszym rozwojem budownictwa zaciążyła jego służebna rola wobec rozwijającego się pozamysłu letniego systematycznie podporządkowywano budownictwo mieszkaniowe i usługowe. Popyt na roboty przemysłowe przewyższył wolniej rosnący zasób mocy produkcyjnych wykonawczych, bo mimo bezprzykładnego ograniczenia planów budowy nowych inwestycyjnych budownictwo zwiększyło zdolność produkcyjną wykonawców.

Kryzys w budownictwie ma wiec głębokie korzenie. Koszty tego zrodzenia w drodze wciąż dokonywanych zmian, czy rażącej ich pozorności, są bardzo wysokie.

Podwoje, którzy na posiedzeniu sejmowej Komisji Budownictwa w ten sposób oceniła stan budownictwa, największe zło upatrują w dzisiejszych

Świadek historii

Karol Szczeciński

Podczas II wojny światowej otrzymał drugą propozycję pracy w charakterze operatora do „Czołówki". Przeszedł. I nie zdął mundur aż do 1947 r. A potem zaczęła się niezwykła w swojej zwyczajności historia człowieka, który z kamerą docierał wszędzie. Były to zdarzenia najwyższej wagi państwowej, spotkania na „szczycie", dramatyczne i mrożące krew w żyłach przygody „przy pracy".

Pan Karol sadza mnie w pokoju pełnym starych zegarów i własnych obrazów i rzeźb. Nabija fajkę i zaczyna opowiadać:

— Byłem na początku tzw. operatorem do wszystkiego. Wyzwalo mnie do Belwederu, do Ligi Kobiet, Rady Ministrów, do wojska. Służyłem wszystkim i wszędzie, ponieważ w pewnym momencie, po wyjeździe kilku kolegów z Warszawy, zostałem jedynym korespondentem. I tak, kiedy marszałek Żymierski odwiedzał różne jednostki wojskowe, a ja oczywiście jechałem na nim. Kiedyś wypadło mi np. wizytować z nim w Legnicy marszałka Rokossowskiego. Nastąpiło wówczas dość zaskakujące zdarzenie. Zwykle, robiąc zdjęcia, pracowałem z małym, kilowatowym agregatem. Pozwalał mi on na wejście do każdej chaty, do każdej wiejskiej świetlicy, do piwnic zrujnowanych kamienic. W pośpiechu i ze względu na ciężar akumulatora (to nie lo, co dzisiaj osobiście przenosi reporterów!) nie wziąłem ze sobą do samolotu mojej lampy. Na miejscu filmowałem powitanie marszałków, ale podczas obiadu w kwaterze głównej marszałka Rokossowskiego nie miałem czym świecić. A tu sala ciemna. Podchodzi więc do mnie adiutant marszałka Żymierskiego i mówi: „Karol, zamelduj się u „Starego". Poszedłem. Marszałek pyta o moją bezczynność. Wyjaśniam, że brak mi światła. Wówczas siedzący obok Rokossowski pyta, ile mi tego światła trzeba. Bąknąłem więc coś o dwóch kilowatach... Odebrano broń od obiad, dwa w czasie jedzenia widzę, że na salę wchodzi żołnierz radziecki z wieszakiem. Takim starego typu — ze zdejmowaną głowicą i miejscem na parasole. A na tym wieszaku — dwadzieścia żarówek stuwatowych, te moje dwa kilowaty!

Pan Karol śmieje się serdecznie. Poważnieje jednak, gdy pytam o sprawy ważniejsze, takie, których się nie zapomina. A przecież zarejestrował on tysiące. Najbardziej w pamięci utkwiły mu dwie historie, które zdarzyły się zaraz po wojnie.

Otóż przyszło mu być obecnym przy ekshumacji zwłok pomordowanych w Palmiraach. Tego nie zapomni nigdy. Odkopano wówczas m. in. Niedzalkowskiego, Ratają, Kussoińskiego. Nieludzkie zabiegi, jakoby setki członków rodzin zabitych i próby identyfikacji. Odcinano kawałki przagniłej już garderoby, sprawdzano stan uzębienia, poszukiwano niezatartych jeszcze znaków szczególnych. Po tym rodziny rozpoznawały ciała swoich bliskich. Wielkie przejęcie. Ale kamera jest zimna. Operator musi rejestrować bez względu na swoje emocje i uczucia. Takie historie. To mają być dokumenty, a nie zapis emocji operatora.

Podobnie było wówczas, gdy filmował dostarczenie do Polski pierwszych zbrodniarzy wojennych. A wśród nich był Fischer — ostatni hitlerowski gubernator Warszawy. I znów to samo. Z jednej strony — nienawiść do ludobójcy, a z drugiej — konieczność pokazania go obiektywnie. Jak siedzi na ławie oskarżonych, jak toczy się proces; kto jest w składzie sędziowskim, kto i jak oskarża, kto broni. Jaki będzie wyrok i reakcja zbrodniarza. Nie mogła wówczas drgnąć ręka. I ręka nie drgnęła. Do dziś relację filmową z tego procesu oglądam w archiwach. Pokazała to nawet telewizja.

*

Pan Karol najmocniej związany jest z Warszawą, chociaż nie jest on cały kraj podnoszący się z ruin. Tu też spotkało go zdarzenie, które może śmiało posłużyć za kanwę niezłego filmu sensacyjnego:

— Miałem szczęście, bo rejestrowałem całe odgruzowywanie i późniejszą odbudowę Warszawy. Zacząłem od filmowania rekordów. Pracował tu bowiem pułkownik, który położył na Marienszlazie 2600 cegieł w ciągu 8 godzin, przy Pasażu Wiedeńskim 3000 cegieł pobił go, kładąc 5000 cegieł, później Markow — 10 000, czy wreszcie astronomiczna liczba — 76 000 cegieł, którą ułożył Majerowski na Marszałkowskiej. Metalexporcie" przy rogu Pięknej i Mokotowskiej. To były sukcesy. Ale zdarzyło się i tak, że trzeba było usunąć resztki dawnego Dworca Głównego. A tam ponoć Niemcy zostawili 200 ton trotylu. Znalazł się jednak specjalista, który na wskazanie odpowiedzialność zgodził się podciąć palnikiem żelbetową ścianę. Podpisał papier, że w razie wypadku nikt z jego bliskich nie będzie rościł pretensji. Ja miałem to sfilmować, oczywiście podpisując wcześniej podobne oświadczenie.

Na miejscu zaś musiałem podejść bardzo blisko ściany, bo tylko wtedy zdjęcia przedstawiały dla mnie jakąś wartość. Nie tylko zresztą dla mnie. Ale wówczas zadrożniono z Łodzi, że przyjedzie nowy operator, który będzie filmował mnie rejestrującego to zdarzenie. Bo gdyby nastąpiła eksplozja, to ktoś musi być przecież dla kamerzyl Wiadysław Gomułka w zgodził się zgodził się natomiast Mieczysław Wieszkin. Ukrył się w bezpiecznej bramie przy ścianie i kamerą ze Aleksandrem Jerzolimskich, z której wysiedlono na ten czas wszystkich ludzi. Facinowicz ciął ścianę, ja filmowałem, a Wieszkin liczył mnie. I nieporażenie. Nic się nie stało. Ściana pękniła się połowiła. Zadnej eksplozji nie było, bo nie było trotylu. A ja coś tak przeczuwałem, bo jakby Niemcy wrzucili tam ładunek wybuchowy, to by go po wnie detonowali.

Rzeczywiście — można się było zdenerwować. Pytam więc pana Karola o to, czy się kiedyś bał?

— Pewnie, że się bałem. Tak samo jak bałem się wielu na zewnątrz samolotu. Ale ten strach ginie, kiedy biorę kamerę do ręki.

*

Na ranie odchodzimy od „zdarzeń z dreszczykiem". Pan Karol cały czas trzyma się tematu odbudowy Warszawy. Pamięta na przykład taką historyjkę:

— Na rogu Wilczej i Marszałkowskiej, tam, gdzie są dziś „Delikatesy", na pierwszym piętrze pracował kobiecy zespół murarski. Bojowe babki. Pracowały tak, że aż ludzie z ulicy, pełne wielki ludzki entuzjazm w budowaniu stolicy. Kobiety-murarze! Do niedawna — nie do pomyślenia. Ale pocznawiałem najpierw z tymi dziewczętami, żeby nie zwracały na mnie uwagi. Kamery nie ma. Miłe nie ma. Układajcie — mówiłem. Ale tak, jak robicie to na co dzień. Dziewczęta zabrały się szparko do roboty, ale zapomniały się do tego stopnia, że ułożyły kilka warstw więcej, niż trzeba, a skończyłem robotę, to im się zaczęło coś nie gadać z planem. I nagle wszystko jasne — zamurowały ściał To jest dzisiaj nie do pomyślenia, by reporter przychodził i namawiał do niezwracania na niego uwagi. Dziś wszystko jest uporządkowane w stosunkach, a zdjęcie zastawiają się do kamery. Ale wówczas tak się pracowało.

Pan Karol pamięta, że nie naciągał, że był pełnym entuzjazm na 1 Pacu Defilad w 1956 roku, gdy przemawiał Władysław Gomułka. Na placu były tysiące ludzi, którzy płakali, wiwatowali i wiwatowali, że od tego momentu będzie wszystko inaczej. Tak bardzo cieszyli się tą chwilą, że gdy chciał jak najbliżej podejść do przemawiającego Władysława Gomułki, to próbowano w tłumie uliczkę — wśród tysięcy ludzi zbitych w zwarty tłum, jeden przy drugim — żeby się zarejestrowało, żeby pamięć o tym nie zaginęła, żeby mogli to przeżyć jeszcze raz, oglądając Polską Kronikę Filmową. Pan Karol też był wówczas szczęśliwy. Zresztą wzruszył się jeszcze dwukrotnie.

Po raz pierwszy w 1970 roku, gdy z nim samym towarzysz stał Edward Gierek, a on filmował pochód 1-majowy. Po zarejestrowaniu głów państwa zaczął filmować defiladę tłum. Wszyscy sobie machnęliśmy z dziećmi na ramieniu ojca i gdy tak prowadził ich kamerą, nagle odezwała się matka: „Ojciec dobry, panie Szczeciński. Teraz filmuje pana moja córka z dwadzieścia lat temu filmował pan mnie w identycznej sytuacji".

Po raz drugi wzruszył się potężnie na Placu Zwycięstwa „Interpresu" Placu Zwycięstwa, poświęconej wielkim Polakom. W czasie zwiedzania obecny na sali Mirosław Hermaszewski, ukłonił się i przywitał serdecznie z panem Karolem tymi — mniej więcej — słowamc: Pan Karol oczywiście się pamiętał, bo i pamiętał, i dla pana doskonale, bo wtedy gdy pan robił zdjęcia na lotniskach wojskowych, to ja jako mały chłopiec krzęciłem się koło hangarów. Zapamiętałem pana.

*

Słuchając opowiadań Karola Szczecińskiego zastanawiam się nad tym, czy człowiek, który tyle przeżył i zobaczył, może mieć czegoś żałować. Okazuje się, że tak.

— Głównie tego — mówi — że za mało zarejestrowałem odbudowy Warszawy. Chociaż mam na taśmie wszystkie dzielnice, wszystkie nosty i wszystkie pomniki. I chociaż robiłem zdjęcia wszystkim ważniejszym budowlom (najstarszy hotel „Warszawa"), to jednak większą uwagę trzeba było zwrócić i poszczególne obiekty, o których dziś powszechnym stanie dziś już mało kto pamięta.

Mówiąc to, pokazuje mi fragmenty swojej fotograficznej kolekcji. W sumie liczy pewnie kilkadziesiąt zdjęć. Oglądam jedną z teczek. Mnóstwo zdjęć z ruin i odbudowy Warszawy, głowy państwa jasce i obce, pan Karol z lufie cofiąc z gen. Jaruzelskim, wówczas jeszcze ministrem obrony narodowej, pan Karol w Mongolii z Józefem Cyrankiewiczem itd., itp. Wreszcie zdjęcie jeszcze w mundurze, pod bramą Reichstagu, gdy trzyma w ręku ogromną rozłupaną glizę armatnią, która stoi na nieciemnym po dziś dzień pod parapetem i służy za stojak do fajek.

JACEK STRZEMŻALSKI

ELŻBIETA GLIŃKA

Książka jak ziarno

— Był kiedyś w Szczawnicy zwyczaj — wspomina DOMINIK MALINOWSKI — *że schodzili się ludzie po domach i kiedy głośno czytał książkę. Ja, że sobie zacząłem pilnym przyczytać, byłem raz po raz na te wiejskie schadzki proszony. Dziś jeszcze mógłbym chyba na pamięć mówić cały „Potop". Uczyliśmy się z książek patriotyzmu, tego, że najważniejszy jest naród, dla niego będzie życie trzeba, poświęcali majątki i kariery. Tego właśnie uczyliśmy się z lektur.*

— „To nie są te książki tak gospodarcą. Wszystko z książek... Myślę sobie tak: jeżeli pracuję dziesięć godzin dla brzucha, to trzeba choć przez godzinę, przynajmniej dusza. Trzeba dopiero nabieram sił... Książka dla mnie to tak, jak ziarno dla ziemi" — mówił jeden z bohaterów powieści Jana Wiktora „Orka na ugorze", ukazującej Szczawnicę lat międzywojennych.

— *Właśnie Maria Bielawska, ona Nauczycielka z Wiktorowiskiej „Orki" nauczyła mnie kochać książki* — wyjaśnia HELENA CZAJA, która dziś jest już na emeryturze, lecz przez trzydzieści jeden lat kierowała szczawnicką biblioteką publiczną. — *Ona, o tacie dyrektora Wojewódzkiej Biblioteki w Krakowie — Władysławie Wolskim, Adela Lejowa — znakomite bibliotekarka i Maria Kisielewska, u której uzyskałam kwalifikacje zawodowe, i jest*

Przed drugą wojną światową działały w Szczawnicy tak zwane „latające biblioteczki" Towarzystwa Szkoły Ludowej. Książki, pieczołowicie chronione przed zawilgoceniem, w tej porze dnia niemal czcią, krążyły od chaty do chaty. Skąd tamtego zwyczaju pozostał do dziś. „Książka krąży, — opowiadała Czajowa Tadeuszowi Robakowi, autorowi tomu reportaży „Przedpola kultury" — *nie obliczy, ile osób ją po kolei w górskim przysiółku przeczytało? Przecież tamtaj, z wierzchów, dużo, ilako do biblioteki, więc jak raz ktoś książkę pożyczy, to idzie ona w obieg z domu do domu".*

Pierwszy zapis w bibliotecznej kronice nosi datę grudzień 1946. W tym właśnie czasie Helena Czaja podjęła swą służbę książce. Zaczynała od czterystu woluminów i garstki czytelników. Następne zapisy w kronice sygnalizowały rosnącą plejadę wzbogacanie form jej pracy. A to udało się zdobyć przeyzium Gromadzkiej Rady Narodowej do zniesienia obowiązującej dotychczas kaucji za wypożyczanie od stałych mieszkańców wsi, a to — od stycznia 1951 do stycznia 1952 r. — w Szlachtowej, Szczawnicy Niżnej i Jaworkach otwarto punkty biblioteczne. Zdarzały się i trudności, niepokoje, jak na przykład wówczas, gdy pewien radny zaproponował, by lokal biblioteki przeznaczyć na... mieszkanie, bo książkom wystarczy byle korytarz, na którym można postawić szafy. Na szczęście pozostali radni odrzucili ten wniosek. Na ogół zresztą biblioteka spotykała się z życzliwością i rozumieniem, a Czaja wspomina dziś, potem gminne, gorącymi sprzymierzeńcami stały się szkoły.

Początkowo biblioteka była nie tylko wypożyczalnią, ale zaruzem i świetlicą, a nawet... poradnią. Do Heleny Czajowej ludzie zwracali się z niejedną sprawą, czasem bardzo osobistą. Nie przysada na „ja świadcz" jak mówi, a wyrada z bliższej, podpieniańskiej gleby. Urodziła się w chłopskiej chacie, umie również świetnie posługiwać się polszczyzną Kermeńka jak i szczawnicką gwarą. Żyje na co dzień życiem takim samym jak jej czytelnicy, wraz z mężem prowadzi niewielkie gospodarstwo, wspólnie z nim hoduje gęsi. Zwyczajnie — jest swoja, szczawnicka. Można bez skrępowania poradzić się, przyznać, że się nie zna jakiejś książki czy autora, bez wstydu przekręcić obco brzmiące nazwisko...

Czytelników przybywało, szybciej nawet niż książek. Tajemnica tego kryła się w znacznym stopniu w tym właśnie, że — jak mówi Czajowa — *biblioteka: musi nasz na równi swe książki, jak i czytelników. Zawsze starałyśmy się wraz z mężem kształcić, zmieniać tematy wypożyczanych. Pragnął nam w tym pomóc, że wszystkie „potknęłyśmy bakcyla książki".*

Przychodzą do biblioteki ludzie z całej Polski, którzy w Szczawnicy dziękują za wypoczynek i zdrowie. Przez kartotekę biblioteczną przewijają się nazwiska pisarzy takich jak na przykład Stefan Wiechecki, Ireneusz Iłnatowicz, Władysław Terlecki, Łucyna Szczegodzińska, Stefan Kuczyński, Władysław Bodnicki, Stanisław Glinka i inni. Helena Czajowa często, korzystając z ich obecności, organizowała spotkania z czytelnikami. Wielkim wyróżnowanym przyjacielem szczawnickich bibliotekarek był Jan Wiktor.

Książkom w szczawnickiej bibliotece nie tylko po

Wspomnienia wicemarszałka

Stanisław Szwalbe

Byłem działaczem, który uważał, że rozstrzygnięcie trudnych spraw musi wielokrotnie opierać się na kompromisie. I nieraz wtedy, kiedy był potrzebny kompromis, „wciągano" mnie do polityki, a który był niezbędny, lub niepożądany — rezygnowano. Albo sam się odstawiałem.

Jestem spółdzielcą i jestem socjalistą. Od lat studenckich, można powiedzieć. Socjalistą konspiracyjnej Polskiej Partii Socjalistycznej wstąpiłem w 1916 roku. Mieliśmy na Uniwersytecie Warszawskim organizacje „Młodzieży socjalistycznej" („Filarecka"). Większość studentów z tej organizacji to byli lewicowcy. Wśród nich — Jan Wolski, późniejszy organizator spółdzielczości pracy. On zainteresował mnie wykładami prof. Abramowskiego. Zacząłem działać w spółdzielczości. To była dziedzina, która mnie pochłaniała w całym okresie międzywojennym.

Okupację spędziłem w Warszawie. Byłem członkiem Spółdzielczego Zarządzieczego — Przedsiębiorstwa Budowlanego i, konspiracyjnie, działaczem RPPS. Nie byłem politycznym, formowym podziemiu bynajmniej nie była prosta. Działał wtedy w Londynie, społeczeństwo polskie było rozmaitymi „kołami" nadzielanie. Ja byłem zwolennikiem tej części wierzyła, że Zachód będzie miał decydujący głos w sprawach Polski. Była grupa socjalistów, których należałem uważała, że to złudzenie. Po bitwie stalingradzkiej stało się dla nas jasne, że Związek Radziecki będzie rzeczywistą o sytuacji w Polsce. Dość szybko my, jako socjalistyczna wówczas lewica, doszliśmy do przekonania, że trzeba zbrodniczego wojnę nie ma sensu. Każde z rozwiązań, o których się mówiło, wiele mówiło, wydawało nam się zonde od dogadania się w Związku Radzieckim. Po pierwsze — dlatego, że Rosjanie będą o naszych losach w zasadzie decydowali. Po drugie — przyjąwszy oni, niezależnie od popełnianych błędów, reformom społecznym. A dla uwzględnię jako specjalist, że reformy są konieczne i niezbędne. Szybkie reformy. Ze nowinnie się stworzyć tymczasowa władza w Polsce, władza, która będzie do przyjęcia również z radzieckiego punktu widzenia. Uznaliśmy, że inicjatywa tworzenia takiej władzy jest słuszna.

Koncepcja Krajowej Rady Narodowej nie była polskim wynalazkiem. W całej Europie powstawały frouty jedności narodowej: w Czechosłowacji, Bułgarii, Grecji, Francji i innych. Był to, można powiedzieć, pomysł ogólnoeuropejski. Forma RNN została przemyślana, w moim przekonaniu, już w 1943 r., przez Bieruta. Zgłosił się do mnie w tej sprawie wkrótce po powrocie do kraju ze Związku Radzieckiego. Znaliśmy się przecież bardzo dobrze z pracy w spółdzielczości. M. in. przed wojną ociekowałem się tego rodzaną w latach, kiedy siedział w więzieniu. Zapytał też, kto by chciał z nim współpracować. Wskazałem na Edwarda Osóbka-Morawskiego. Znałi się z Bierutem z Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej. Ale chodziło też o innych działaczy społecznych.

Krajowa Rada Narodowa miała być zakończyć nadzieje. Powstała przecież reprezentować rozmaite odłamy społeczeństwa. Szukaliśmy gwałtownie sojuszników. Nie PPR-owców oraz lewicowych socjalistów były mniejsze — w porównaniu ze zwolennikami rządu londyńskiego. Przeprowadziliśmy rozmowy z przedstawicielami sojuszników wśród inteligencji pracującej, wśród bezpartyjnych, niekoniecznie zwolenników komunizmu, nie wrogów o komunizmie, lecz tych, którzy zechcą pracować w nowych warunkach, nawet nie angażując się politycznie, dawali na to przyzwolenie. Zwłaszcza w ogromnej części prolondyńscy, zwolennicy tak zwanej neutralności politycznie spółdzielczego, stanęli po wojnie do pracy.

Przyzwoitowaniamą do pierwszego posiedzenia KRN zajęli się przedstawiciele PPR i RPPS: Gomułka, Bierut, Jóźwiak, Loga-Sowiński i Osóbka-Morawski. Ostatecznie skład uczestników pierwszego posiedzenia konspiracyjnej Rady ustalili: Osóbka-Morawski, Bierut i Gomułka. Ci trzej mieli się powoścnie sądzi, nie uczestniczył w nim ani Gomułka, ani ja, Stanisław Ziemian, Wincenty Witos i Bawiński. Nie mogłem w jednym lokalu zebrać się całe kierownictwo KRN — było to zbyt niebezpieczne. Miałem obowiązek przekazać informacje o przebiegu posiedzenia. Uczestniczyć w nim nie miałem w drunciu rzeczy decyzjaśnie anacenia. Z góry nie ustalaliśmy, że przewodniczącym podziemnej Krajowej Rady Narodowej będzie Bierut, a wiceprzewodniczącym — Osóbka-Morawski.

„Administracje" Rady prowadziłem PPR. Jej kierownictwo miało do tego odpowiedni aparat, byli lepiej od nas zorganizowani. RPPS miało w tym celu szczególnie trudną sytuację. Ustanowiła ja z Komitetu Doradczego przy Delegaturze Rządu Londyńskiego. Związek Patriotów Polskich zaś dał o kontakty z PPR. Ale PPS miała tradycyjne znaczne wpływy w Polsce. Powiedział kiedyś do mnie Stalin: „Ja wiem, że PPS ma w Polsce wielu zwolenników, więcej niż PPR".

Byliśmy potrzebni.

Konspiracyjna KRN obradowała w Warszawie 31 grudnia 1943. Tego samego dnia wydano do niego komunikat. Nie zastali mnie. Byłem uprzedzony, uciekłem. Mieszkałem w czasie wojny na Żoliborzu. Poprzedniej nocy przyszli do Spółdzielczego Przedsiębiorstwa Budowlanego. Zrobili rewizję, zabrali dwóch moich współpracowników: Tadeusza Sołdatkowa i Jana Bobeszkę. Podczas rewizji u Bobeszków tłumacz zapytał: „Czy pan zna dyrektora Szwalbe?" „Trudno żebyśmy nie znali, pracujemy razem" — odpowiedział zapytany. Tłumacz na to: „Bo my się do niego też wybieramy". Chciał mnie zaaresztować dyrektora. Mój współpracownicy zostali aresztowani, pobici — rozstrzelani. Ale Bobeszkowa uratowała. Przyłożenia zaraz do mnie. Tego samego dnia wyjechałem do Krakowa.

Wojna jeszcze trwała, a my znów rozpoczęliśmy rozmowy o władzy, frontie narodowym, porozumieniu. Konspiracyjna KRN ze Bierutem i kadrubą, który stopniowo obrastał. Powoływano do Rady przedstawicieli nowo wywołonych ugrupowań: biskupstwo lubelskiego, rzeszowskiego. Do Lublina przyjechało wiele osób powracających z Moskwy. Bierut, Zambrowski, Ochab. Przystępowali do Rady PPS-owcy, nie tylko z lewicowego skrzydła. Stronnictwo Demokratyczne. Spółdzielcze. KRN w Lublinie liczyła już ok. 100 członków. Ale jej kierownictwo prowadziło dalsze rozmowy i poszukiwania. Szło Ze swej skromy pamiętam zwłaszcza dwie.

Zasadnicza rozmowę z Wincentym Witosem w sprawie jego wejścia do KRN przeprowadziłem w 1945 roku. Witos uważał, że nie można liczyć na Zachód. Był po Monachium w Czechosłowacji, widział jej rozbiór. Francja miała z Czechosłowacją pakt obronny, a jednak nie pomogła sobie. Witos przestrzegał wejścia do KRN odpowiedział: „Pan wie, że nie kocham bolszewików, ale to siła, która tutaj jest, z którą trzeba się dogadać. Moje wejście do KRN uzależniam od dwóch czynników. Po pierwsze — muszę się naradzić z przyjaciółmi politycznymi. Po drugie — muszę wyszdrowieć".

Ale nie wyzdrowiał, wkrótce umarł. Drugą rozmowę miałem z ojcem Mikołajczyk, który był politykiem nieoraliczym. Przegrał.

W jednym z pierwszych samolotów odwoził mnie do Lublin z Londynu do Warszawy Stanisław Grabski. Stworzył się wówczas Rząd Jedności Narodowej. Zapytałem byłego ministra oświecenia, którego nazywaliśmy ministrem zaciemnienia: „Czemu pan przyjechał do lubelskiego, czerwonego rządu?". Odpowiedział: „Nie jestem komunista i nie jestem socjalistą. Ale jestem człowiekiem, który przez wiele lat walczył w obozie narodowym o zbliżenie polsko-rosyjskie. Uważam, że możliśmy do odzyskać tylko poprzez ugodę z ZSRR. A ta ugoda mogli przeprowadzić tylko ludzie tego obozu narodowo-ludowego". Został wicepremierem — jako bezpartyjny.

Pierwsze legalne posiedzenie KRN odbyło się w Warszawie, w sali Rotmy, 1 maja 1945 roku. Parlamentu Ludowego, wówczas z 444 posłów. W ich grono nie była także opozycja: był Mikołajczyk i Popiel, PSL i Stronnictwo Pracy.

Bierut zażądał, powiedział. „Nie przypadkiem wybraliśmy dziś 1 maja na otwarcie posiedzenia tymczasowego parlamentu polskiego. Chcemy nawiązać do szczytnych tradycji polskiego parlamentaryzmu".

Robocze pracowaliśmy nieraz tak, jawna szlachta: trzech przedstawicieli PPR i trzech przedstawicieli PPS. Najczęściej byli to: z PPR — Gomułka, Berman i Zambrowski, albo Bierut, Hilary Minc; z PPS — Osóbka-Morawski, ja i Oskar Lange lub Adam Rapacki. Nie zawsze mieliśmy w tym gronie jednomyślne zdanie. A właściwie z bierzem lat, mieliśmy je coraz rzadziej. W takich sprawach, jak reforma rolna, handel, sojusz, opozycji politycznej usiłowaliśmy. Uważałem bowiem ciągle, że sojusz wszystkich sił lewicy jest niezbędny.

Do dziś sreczta uważam za swój największy sukces polityczny działalność wiśnie w pierwszych latach jednolitego frontu, pierwszych latach KRN. Byłem wicemarszałkiem parlamentu i przewodniczącym Rady Naczelnej PPS. Nie przewidywałem lekceważenia, jakie spotka Rada. Nie przewidziałem okresu błędów i wypaczeń. Być może, świadczyło to o mojej naiwności politycznej. Czeko stysze podobne zarzuty. I chyba trochę się z nimi zgadzam. Największą moją porażką polityczną było właśnie to, że nie przewidziałem.

Zrezygnowałem z przewodnictwa w RN PPS na kilka miesięcy przed dokonczeniem pracy w KRN. Ale zamknięcie posiedzenie Rady Naczelnej PPS.

Bierut powiedział mi później: „Ty się w ogóle nie nadajesz do czasów, jakie nadejdą". I chyba miał rację.

Notowała:

BOŻENA WAWRZEWSKA

spotkania z pisarzami — szukano i innych atrakcyjnych form pracy z czytelnikami. Otwórzmy raz jeszcze „Przedpola kultury"; — „Książkę trzeba ludziom upiększyć, przyjąć, ożywić, rozrumienić. Chodzi o to, w tym pomoże mi zespół literatów". W bibliotecznej kronice znajdujemy więc zapisy o różnorodnych spektaklach, organizowanych wspólnie z zespołem Ochotniczej Straży Pożarnej, o wieczorów poezji: fotografie, które zatrzymały w kadrze gwiazdy aktorów-amatorów i reakcje publiczności. Zgromadzono wokół biblioteki tworzców ludowych, takich jak na przykład Michał Słowik — „Dzwon" czy Józef Zachwieja — „Madziar", wystawiano stroje, hafty, rzeźby regionalne. Dla dzieci wywiązane bliskie i przetrwałe więzi. Od lat w tym 1937 r. założono w Szczawnicy głośniki radiowe, skorzystano skwapliwie i z tej nowej możliwości popularyzacji czytelnictwa. Kurdyka czytelników przyjeżdżających na wieczory z kolonii grudnia 1937 r. zawierała już tysiąc trzysta niedziesiąt nazwisk, z czego połowa — to dzieci i młodzież. Zorganizowano wycieczki do Szczawnicy przy przez dziadków i rodziców, którzy uczyli się kochać książki od Heleny Czajowej. Następne 1400 nazwisk — to dzieci wczasowiczów z Krakowa.

— „Wiesz, co to książka?" — pisał w „Orce na ugorze" — Jan Wiktor. — **Świat ci zasłoni, radę ma wszystko da...** Czajowa i jej następczyni na dyrektorskim funkcji MARIA SZEWIK, a później kolejne bibliotekarki — MARIA WASKO, BARBARA BIENIEK i STANISŁAWA GABRYS gorąco wierzą w to Wiktorowskie przekonanie. Dlatego dosłowie wiążą każdego nowego czytelnika, dlatego obają o systematyczne, mądre wybogacanie zbiorów.

Starałyśmy się o to — mówi Czajowa — by rzeczywiście mieć zawsze wonności, książki atrakcyjne, choć nie tylko lekkie, „wakacyjne". Przecież właśnie na urlopie ma się czas na lekturę głębszą, wymagającą refleksji.

— Czasem *staczamy prawdziwe boje z kierownictwem szczecinickiego Domu Książki*, by wpłynąć na to, *co czym nam zależy* — śmieje się Maria Słowik.

W 1949 r. zaczynano, jak pamiętamy, od czterystu woluminów, dziś są ich prawie dwadzieścia trzy tysiące. Ponad połowa przeznaczona jest dla młodzieżowych. Zbiór wzbogaca się nie tylko drogą zakupów — trafiają się i darowizny, nawet tak sugestywne jak zbiór Sławoja Felicjana Frankowskiego i druki sprzed wieku ofiarowane przez ANNĘ WERNEROWĄ.

Mijające lata przynosiły kolejne satysfakcje — na przykład wzrost kilkakrotnie pierwszy „Wieś przodująca w powiecie w czytelnictwie", dyplomy i nagrody. Przynosiły też... reorganizacje na szczeście bardziej formalne niż frustrujące: zamiast kolejno z biblioteki gromadzkiej na osiedlową, a w lipcu 1962 r., gdy Szczawnicą uzyskała prawa miejskie — na miejską. Po połączeniu Szczawnicy z Krościenkiem — biblioteka tutejsza została podporządkowana Krościeńska placówka, ale w 1982 r. znów nastąpiło rozdział. Chyba jednak ważniejsze dla Wiktora Czajowa i jej następczyni — jest przydzielono jej drugiego bracownika; dziś biblioteka dysponuje już 4 etatami. W 1968 r. otwarto dział dziecięcy. Niestety, ma on najgorsze warunki do pracy, dzieci wchodzą do niewielkiej sieni, gdzie czasem jest grzejącej grzybem. Brak tam miejsca na wyświetlanie bardzo cenną teatrzyku kukiełkowego, czy na rysowanie, na plon rozmaitych konkursów czytelniczych — daje się jakoś zawiesić na ścianach.

— Zawsze, nie nasza największa bolączka — mówi Maria Słowik. Ten, w którym dziś mieści się biblioteka, jest już piątym w jej dziejach. Przed laty, gdy się tu przeprowadzano, był wspaniały, bachowski, świeżo po remoncie. Ale bibliotekarze znidcomite, w samym centrum miejscowości. Dziś w trzech niewielkich salkach nad kinem i owej przykładnie — o której była mowa — bibliotekarz już się dusi. Niegdyś planowano postawienie specjalnego pawilonu bibliotecznego, ale władze nie wyrraziły zgody na budowę, ponieważ miał to być budynek według projektu typowego, mającego w zabytkowej zaczawnickiej zabudowie. Później przymierzano się do przejęcia na ośrodek kultury siedziby wojewódzkiego oddziału, gdzie się mieściły siedziby w Krościenku — ale rozdział dwumiasta pokrzyżował te plany. Podobno gdy stanie ten miejscu dawnego, spalonego Pawiora Gościnnego dom kultury — biblioteka również otrzyma tam pomieszczenie. Tylko czy do tego czasu księgobiór zbytnio nie ucierpi?

Pomyśleć — Żeby książki nie nie rozpadały! — wzdycha Barbara Bieniek. — *Cóż z tego, że wpisujemy na nie grube tysiące, skoro są tak fatalnie wydane, że nieraz już od pierwszego czytelnika wracają w proszku.*

— *I żeby czytelnicy nie zapomniali oddawać książek* — dodaje Stanisława Gabryś. — *Przy obecnym głodzie książki i jej braku na rynku niejeden czytelnik dochodzi do wniosku, że opłaca mu się stracić kaucję, aby tylko książkę poszukiwaną potajemnie. Bóg to wie, czy przyjdzie — nie opłacą się solidniejsi, zresztą mamy więcej możliwości wyegzekwowania zwrotu.*

Teraz, w lipcu, Biblioteka Miejska w Szczawnicy świętuje swoje trzydziestopięciolecie. Święci je bardzo skromnie — ot, zrobiono wystawę, odbędzie się mała „wewnętrzna" uroczystość. Dla tutejszych bibliotekarzy najważniejsze jest fakt, że przez trzy i pół dziesiątka lat biblioteka mogła wiernie służyć czytelnikom, zyskiwać książce nowych wielbicieli, sprawiać, by książki rzeczywiście trafiały „pod strzechy".

STEFAN CIEPŁY

U KOLEBKI

Spisz, Orawa, Skalne Podhale, Pieniny, Gorce, Dolina Popradu — wszystkie te słowa i cały krajobraz, który sposoba nich się wyłania, to były dla mnie lata, sprawy dalekie i obce. Tu, gdzie się urodziłem i wychowałem, w równinnym krajobrazie suchych traw, rosnących na piaszczystej glebie, niewielkich sosenek przygniętych kopami, sagaładków olszynowych i łąk — szum strumienia czy zwykły odłamek skały, ba nawet kamień wielkości męskiej pięści, był i jest czymś nader rzadkim. Tu rzeki płyną leniwie i cicho, kamienie są bez ostrych krawędzi, a świerk czy jodła pojawia się tylko na... Boże Narodzenie. Dlatego też? A no, niech odpowie poeta: „Równino narodzeńska, rozmodlta szeroko, po tobie bladło moje serce dziecka i męża oko".

Człowiek nie wybiera sobie jednak miejsca urodzenia i, jeśli, wtedy tak się dzieje, to w miarę jej pamięci prowadzi przez czas jakiś ku domu.

Te ślady też już są mocno zatarte, a nie należę, niestety, do takich odważnych tym rodzajem pamięci, który pozwala w każdej chwili wydobyć szczegóły odbytej przed laty rozmowy; dzięki czemu dawno minione lata, przeżyte sprawy i nadal wszystkie osoby, z którymi kiedyś byłyśmy blisko — stają przed oczyma, jakby to było wczoraj. Zawsze się jednak pocieszam, słowami jednego z naszych poetów, że „kto pod dobre dzieciństwo w tym sposób umierał, to i tak wszystko stanie mu raz jeszcze przed oczyma.

W lipcu 1965 roku zaczęłam pracować w Wydziale Kultury Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Krakowie. Trzy dni po tym, jeszcze na miejscu, Wtedy to właśnie poznałam ludzi, których tu chcę przypomnieć, a także byłem u kolebki kilku przedwojennych, które potem wyrosły z krótkich spodenek i nabrały sporego znaczenia. A działo się to na terenie wtedy określanym mianem Ziemi Krakowskiej, ku zgorszeniu „wojujących" z nią Górali, a dziś Ziemi Wołowskiej, Ziemi Podhalu podobnymi uczuciami. Etnografia jednak nigdy i nigdzie nie dominowała nad polityką, więc i teraz nie podobnego się nie zapowiada.

Zostawmy jednak te dywagacje na boku. Byłem „u kolebki" pierwszego Międzynarodowego Festiwalu Folkloru Ziem Górskich w Zakopanem, którego oficjalne pirma z tego czasu noszą mój podpis. Zaś na organizacyjnym zebraniu, jeszcze wtedy uczęszczałem, Mnie też swój udział w pierwszych „Sabnolowych Jasełkach" w Bukowinie Tatrzańskiej, która to nazwa, ku ubolewaniu Górali, jest nieprawdziwa, będąc świadectwem memu cepostwu i równinnemu rodowodowi. Wspomnieć też chcę o kulisach rozgrywki o pierwszy bodaj telewizyjny teleturniej, który przekroczył granice Polski, a mianowicie Zakopane — kinokowiec: wreszcie kilkoma tylko wspomnieli uczynić pragnę, historię powstania do życia niedawna, rozszerzo dziś nazwę Dariusz, który to tytuł wolę nie bił tak oczywisty, gdy Eugenjusz Satoła w imieniu Eugenjusza KW Henryka Kosteckiego, ówczesnego I sekretarza w Nowym Sączu, zaprosił Zbigniewa Regucki ego — naczelnego „Gazety Krakowskiej", Mieczysława Czanę — szefa „Przekroju", mnie — jako naczelnego „TeMI" i Adama Ogorzałka — jako potenjalnego szefa pisma — na rozmowę.

Ale dość wstępu, cofnijmy wskazówki zegara.

Zakopane lubiłem, odkąd je znam, i lubię do dziś. To widzew dobremu gustowi, może lepiej powiedzieć, ale kicham na to. Zawsze było tu sporo interesujących ludzi, zawsze działo się więcej, niżby z obiektywnych możliwości wynikało. A działo się za sprawą ludzi. Kiedy poznałem Krystynę Słobodzińską — szefa Referatu Kultury w Zakopanem (kultura była wówczas w administracji terenowej jeszcze zdecydowanie mieszcząca się w „oświacie" i już ów samodzielny, zakopiański Referat wymagał specjalnych, ministerialnych zabiegów, do których swoją drogą Zakopane zawsze miało łatwości, a także jej prawą rękę Magdalenę Piątkowską, byłem niewątpliwie zauroczony. Takiej kadry nie było w żadnym powiecie. Może jeszcze Tadeusz Trepacz, dziś szef bielskiej kultury, a wówczas żywieckiej — konkurował. „Referat" robił wówczas m. in. dorocznie „Jesień Tatrzańską", bardzo interesujący konkurs recytatorski dla dzieci, oparty na utworach, które dzieci te po poswiadomy na herb Zakopanego (i wyszperali, opiekowali się plastykowi, wszyscy z MOSTIW-em „Tatry", czarowali ZZW, Ritówal z Liceum Kierata, a dodatek prowadzili Robiert Gaskroniec", na którego to programie pt. „Loe Juhastos" sam Zenon Klisiko raz się uśmiechnął osobiście w widzialnej.

Idąc Festiwalu zespołów regionalnych Ziem Górskich „Referat" kupił na pniu, bo „Jesień" trochę się już zaczęła kisić we własnym, zakopiańskim sosie. Zaś zespoły regionalne (w latenie) Gory po Przemyśl oznaczało wkroczenie na mapę ogólnopolską i było czynią, co Słobodzińską czywiste, bo ona lubiła wszystkie „Polskie Góry" (zacząć wędy". Ja zdatwiłem, co trzeba w Krakowie, ona w Zakopanem, i razem pojechaliśmy do Warszawy. Tam „nabyliśmy" przecenego sojusznika impwezy dziś przedstawiciela Polski w CKP — Michała Kostekiego z Min. Kultury i Sztuki. On to podjął do kary Festiwalu kandydaturę wywitaną polskiej (oczywiście Górali) „Polskiej Góry" szkicej autorstwa były in. i. sylvne polnizy zbiwnie na dożynkach i innych uroczystościach ludowych jeszcze w latach pięćdziesiątych.

Wiedzę o tym zespole przyniósł sympatykiem Festiwalu był sekretarz MRN Stefan Bukala, starszy siwy pan, bardzo opanowany, ale potrafiący zwodzić wszelkim kłopotom. A było ich niemało, bo wpadał sali widowiskowej w Zakopanem — poszyna... W Krakowie Wydziałem Kultury kierowała wtedy Zofia Domajecka, delikatna, inteligentna, ale nieco zbyt zbrzda. Nie jądź Szefowa, daja mi „pełnomocnictwo" do Festiwalu, nawujne mnie w rodzinu nieroszczeń od czasu do czasu przez całego Oddziału Upowszechniania Kultury w osobach: Bocłkowski, Zofii Goebel i mnjdzo biurowego wia a vis, niezastąpionej, wspaniałej Janeczki Glanowskiej, która umiała nie tylko funtazjować (co się w urzędach rzadko zdarza), ale i chodzić dzielnie (tudzież Słobodzińską i mnie na nią spowadzać).

Ale cała sprawa międzynarodowego Festiwalu była dopiero przed nami, rozbiliśmy wtedy drugi Festiwal Zespołów Regionalnych, gdy przechodząc przypadkowo korytarzem doszło do mnie jedno zdanie z rozmowy z kimś mi nieznanym zastępcy kierownika Wydziału Kultury Michała Bałdy: „to mogło by być międzynarodowe" i natychmiast myśl „kupiłem". Z Rakiem pracować się nie dało, był to wyjątkowy antytalent kierowniczy. Słobodzińska przeniosła się na inne stanowisko, a Bałdy poległ na tym, że za 25 tys. zł. a tyle wynosił roczny budżet Referatu, i za drugie 25 tys. zł. które był gotów wydać w Krakowie, to nie mogliśmy sobie głównie pomarzyć. Ale tu mój ZSP-owski rodowód przyszedł z pomocą. Słobodzińska wyczarowała jeszcze od Ministerstwa 40 tys. zł. a jad „Wielkiej Pętlowskiej" — 40 tys.

Wielka 15-tka to była potęga w postaci 15 największych zakładów pracy województwa krakowskiego w rodzaju HiL, tarnowskich „Azotów", NZPS „Podhale" Zakładów Chemicznych Dwóch Ciemiu itp., do których doszłusowały niektóre instytucje wojewódzkie w rodzaju WZSP, WZOS, czy „Cepelii" siedzibą mieszczącą się w Zakopanem, albo Marysią Siembab od firmy do firmy, one wdzięczyły się, a ja piekowałem. Stał za nami wysoki autorstet. Władysława Lorance, ówczesnego szefa Wydziału Kultury w Komitecie Wojewódzkim w Krakowie, no i stało przekonanie o celowości przedsięwzięcia.

Zakłady pracy delegowały na Festiwal swoich przedstawicieli, podawały swój autokar do dyspozycji zespołu zagranicznego, gościły go we własnym hotelu, karmiły, poły, organizowały spotkanie z władzą zakładu, wreszcie we własnym mieście — w ogóle traktowały Festiwal jako „własną" imprezę.

W pierwszym Międzynarodowym Festiwalu, w 1968 roku wzięło udział szesć zagranicznych zespołów pieśni i tańca z Armenii, Bułgarii, NRD, Rumunii, Włoch i Wołynia oraz 16 krajowych. Pierwszą „Zdobycz" przywiozły Włochy, zespół folklorystyczny z Sicilii, zespołów autentycznych i „Hora" z Suceava w Rumunii — w kategorii zespołów stylizowanych. Chuma nie było jeszcze tak wiele, kategorii festiwalowych też, stąd najtrudniejsze dla jury przewodniczącego jury przejął z rąk sędziwej Jadwigi Mierzejewskiej wybitny krakowski etnograf, człowiek uroczy, zabawny, ale i bardzo wymagający, ale o odtąd stały szef jury, prof. dr Roman Reinfuss.

Pierwszy Festiwal odbył się w sali Teatru Morskie Oko". 400 zaledwie miejsc na dobra sprawę od razu zapełniło się publiczności, na pozatem, izturm na miejsce był taki, że trudno było nawet Czesława Domatsk usadowić wygodnie. Absolutnie niezrozumiałym w przypadkiem się pohuratałem sobie wykonać na ekranie relację z Festiwalu na przez starościnę z zespołu Klinika Buchledy budowa wnuda do czwartu przy wiązanu kosy nekta na kwiecie. Ale wszystko to, to nic w porównaniu z starta, dziś Festiwal inaugurowano. Ale wszystko górałskiego naturalnie to nie zakłóciło.

Kaziowy jeszcze Festiwal Zespołów Regionalnych Ziem Górskich w Zakopanem" w sposób wynikający z nazwy podsumowania, eliminował in. z programu (czy raczej stawiał na dalszym planie) kapele ludowe, przeszły ludowych, tańczący,

Andrzej B. Krupiński

W OKOPACH

Dwa najmłodsze powiadeckie osiedla mieszkaniowe nazywają się: Barskie I i Barskie II. Są one dość ładne i sensownie zaprojektowane, tak iż mogą stanowić powód do dumy zarówno władz miejskich jakich realizatorów. Ide jednak oczakiał, że dla wielu młodych ludzi, a nawet dla mieszkańców wyżej wzlędni nazwy ich są nieprzyjemnie brzmią pusto. A przecież wiążąsię z nazwyżki interesującym epizodem w dziejach Polski przedmiotowej, w którym pewną rolę odgrywała również Sądeczyzna a którego materialne ślady dla tych, którzy trwają na południowo-wschodnich rubieżach naszego województwa.

Dnia 28 lutego 1768 roku w Barze, niewielkiej podolskiej miejscinie, Michał Kraslcki, podkomorzy rożański, Józef Pulaski, starosta warecki i Józef Kochan, podsąsiad imieniem prowincji małopolskiej akt konfederacji dla „ochronywiejwi wiary katolickiej i dawnej polskiej wolności". W ten sposób zawiązana została konfederacja barska skierowana przeciwko Rosji umacniającej swoje bardziej wszechmocnictwo nad Rzeczpospolitą, przeciw jej ambasadorowi, księciu Repninowi oraz, co tu ukrywać, królowi Stanisławowi Augustowi, zawdzięczającemu tron polski w głównej mierze carycy Katarzynie II. Bezpośrednim powodem ogłoszenia konfederacji było powtórnie internowanie w law sejmu warszawskiego i uprowadzenie do Petersburga przez ambasadory Rosnina czlenmi polskich senatorów. Podczas akcji konfederacji dało się zauważyć wahom konfederatów z wojskami carskimi, które trwały do 1772 roku, kiedy jęły terytorium niej Awstrowej Rzeczpospolitej, a zakończyły się pierwszym rozbiorem Polski.

Historycy nigdy nie byli zgodni w politycznej ocenie konfederacji barskiej. Dla jednych była ona zywem patriotycznym celem którego było odzyskanie przez Polskę trawnej suwerenności i zniesienie ujemnej inurekcję warchołów i wstecznikow. Stąd też niekiedy urastała ona do rozmiarów symbolu narodowego. Dla innych była ona buntem przemilczana. Wszelako wydarzenia z nią związane pozostana cząstka naszych dziejów. Ale zanim historycy uzgodnią stanowisko co do jej właściwego znaczenia i skutków, odwiedźmy z nią związane okopy konfederatów barskich pod Muszyną.

Gdy wiosną 1769 roku odkryły konfederatów barskich zostały rozgromione przez korpus rosyjski w bitwie pod Landskroną, zmuszeni do ich oddziały zaczęły ponownie skupiać się na Zieni Sądeckiej. Tak doszło do powstania obozów wojskowych pod Muszyną i nad łabami. Górzysty teren i bliskość granicy węgierskiej niaj zapewniał bezpieczeństwo. Stąd wybór miejsca. Założycielem ich był podskarbi, Teodor Wessel, ale faktycznym przywódcą obozu był marszałkiem skupionych w nim konfederatów został Józef Bierzyński, o którym Tadeusz Kitowicz pisał, że był to *szlachcic mały z województwa sieradzkiego, dziedzic wioski jednego kilka chłopów, ale urody wspaniałej i pięknej twarzy przymiotów politycznych wabiących do siebie.*

W niedługi czas po założeniu obozu pod Muszyną przybyli do: Joachim Szwarcenberg Czerny, Tomasz Wilkoński, Rafał Tarnowski i Ignacy Potocki, którzy w wyniku ołecji, do jakiej doszło 17 kwietnia zostali wybrani marszałkami poszczególnych ziem Polski. W taki oto sposób niewielka pograniczna wioska stała się ważnym ośrodkiem konfederackim, a przez to wesnia do naszej historii. Tu wszak powstawały uniwersały rozsyłane po całej Polsce, rodziły się koncepcje przyszłej polskiej polityki zagranicznej. Tu wreszcie 17 października 1769 roku utworzono Generalność czyli wśród powstańczą, a w połowie stycznia następnego roku obrano marszałkiem generalnym Wielkiego Księstwa Litewskiego Michała Jana Paca.

Na wszystkich mapach turystycznych powstały wsią Muszyna a Tylicką widnieje napis „Okopy konfederatów barskich". Nie jest to podsumowanie zbyt ścisłe, albowiem w rzeczywistości nie chodzi o jakieś okopy lecz o ziemne fortyfikacje polowe osłaniające niegdyś obóz konfederacki. To nas, co z nich jeszcze zostało, dąże bardzo niepełny obraz zaprojektowanego obozu, a obecnie dla dziedzictwa kiedy ostatnich lat Rzeczpospolitej przedrozbiorowej.

Obóz konfederatów w Muszynce, zwany często „koronnym" należał do największych w Małopolsce. Zajmował powierzchnię 8 400 m² i mógł pomieścić do trzech tysięcy ludzi. Założono go na planie nieregularnego trójkąta i ogrodzono wałami przedpiersia oraz poprzedzającymi go rowami Długość tych umocnień wynosiła 1 000 metrów. Przedpiersie usypano z ziemi do wysokościtrzech metrów, i przypuszczać należy, że wzmocniono je dodatkowo drewnianymi elementami obronnymi w postaci palisady, ostrokołu lub zasieków. Naroża obozu wzmocniono czymś na kształt niewielkich bastionów ziemnych, na których umieszczono działa. Główne wejście do obozu usytuowany w południowo-

malarzy, a także gawędziarzy. Na jednej z częstych wówczas narad przedstawicieli powiatowych działaczy ludowych w województwie Wydziale Kultury, dogadałem się z Elżą, pracującą tam do pracy, młodziutką Elżą Bryniarską z Powiatowego Domu Kultury w Nowym Targu, iż jest taki piękny Dom Ludowy w Bukowinie, który warto by ożywić. Postanowiliśmy tam wspólnie, umówiwszy Elżę na spotkanie z Józefem Pitorakiem, góralem „po maturze", który 30 lat przetańczył w miejscowym zespole regionalnym, pisywał scenariusze widowisk teatrzyczych, wierszy, reżyserował wiejsy zespołów, no i prezesował takiemu osobliwemu tworowi, jak jedyna w Polsce Spółdzielnia Kulturalno-Oświatowa, działająca jeszcze dość wcześnie za sprawą miejscowego nauczyciela, Franciszka Cwiżewicza, inicjatora budowy Domu Ludowego. Trudno się oprzeć refleksji, że jeszcze i dziś nie na każdej wsi dosiężnej do tego, co miejscowy oprawczas doszedł Cwiżewicz, tak planując Dom Ludowy, że i kino, i świetlica, i hotel, i teatr, i kuchnia, i ścena się tu mieszczą, umożliwiając jednocześnie jeszcze wielu przedsięwzięć. A w dodatku naprawdę to ślicznie.

Pitorak budował sobie wtedy w Bukowinie nowy „zdiał", bardzo piękny zresztą domeczek, cały z drewna, z jedną dużą łżbą na parterze i jedną na piętrzku. Pokazywał nam to, bo nie mógł już ścierpieć, że taki mu despotkt przyszedł na „ciemnoty" — tak nam to wtedy opowiadał. Otóż od 1912 roku, odkąd to jego babka powróciła z Hameryki i wystawiła najwiekszy dom w Bukowinie — zawsze miał widok na Tatry. Na Tatry od Hawrania po Giewont. A tu mu tymczasem CZSP zamiast Orlej Perci pod nosem zaserwował najbydlejszego na dziś dzień gigantycznego chłopa gdzieś na 200 osób, w stylu koszarowym, pod tytułem „Harnaś", i tego przecież ścierpieć nie mógł. Pitorak nie miał więc zbytnio czasu ani zapału do zmprez.

Ale miała go Stasia Leja, prezesuj-sza na co dzień owej spółdzielni (Pitorak pełnił funkcje bardziej honorowe), wychowawca Zespołu Regionalnego w Bukowinie, której energia dobrze rokowała eventualnemu kunkursowi gawędziarzy z Polski Poludniowej. Kto rzucił ideę, by właśnie gawędziarzy, a nie zespoły kolędnickie, gigantyczne chłopy gdzieś na 200 osób, w stylu koszarowym, pod tytułem „Harnaś", i tego przecież ścierpieć nie mógł. Pitorak nie miał więc zbytnio czasu ani zapału do imprez.

Ale miała go Stasia Leja, prezesuj-sza na co dzień owej spółdzielni (Pitorak pełnił funkcje bardziej honorowe), wychowawca Zespołu Regionalnego w Bukowinie, której

Chłopski bal u Potockiego

„Wszystko, co złe, w proch się rozsypie,
Wszystko, co dobre, na wieki zostanie".
Kto to powiedział i kiedy?

— Jeśli te słowa mają jakiś związek z Łańcutem, najlepiej zapytać o to towarzysza Basaka — mówią mi w Komitecie Miejskim partii.

A Zdzisław Basak pamięta te słowa, a jakże, i to dobrze. Przecież wtedy była to wielka uroczystość na skalę „Polski lubelskiej". 3 listopada 1944 r., na zamku łańcuckim, uroczyście zakończono reformę rolną w pierwszym powiecie Rzeczypospolitej. A dwuwiersz ten wypowiedział premier Osóbka-Morawski, stojąc na rusztowaniu przed pałacem, po czym odwrócił się i młotkiem nadtłukł herb wmurowany na frontonie pałacu, a resztki herbu przykrył metalową tablicą z piastowskim orłem. Była godzina szósta po południu.

*

Zdzisław Basak przeżył dużo, dużo pamięta i dużo czyta. Z dziecinnym pamięta, że jak szedł do folwarku Alfreda Potockiego, podsypywać buraki saletrą, to płacili mu 40 groszy za dniówkę. Dogórnej stawki — 50 groszy za dzień pracy — mógł nie dosczekać. A jak były żniwa i robota paliła, to Potocki płacił dziennie mężczyźnie, kosiarzowi, 2 złote 50 groszy za dzień. Ale żniwa trwały krótko. Zresztą Potocki nie zawsze płacił pieniędzmi. Za trzy czwarte burczanej nać chłopi wykopywali burakę, obierali go, oczyszczali i zanosili na kopiec. Jak brakła obniżył zapłatę do jednej czwartej części nać, to chłopi nie wytrzymali i wybili strajk. Za jaki wtedy wielki wiedziałeś, że są wywyskiwani. Ale w jakim stopniu, to pan Zdzisław dowiedział się dopiero po wojnie, m. in. z pamiętników Potockiego, wydanych w Szwajcarii, ale przetłumaczonych w łańcuckim muzeum. Dowiedział się więc, że na słynne polowanie hrabiego w Afryce wydano 180 tysięcy dolarów. „To prawdziwa równowartość milona wieśniaczych tysięcy moich dniówek — pomyślał wówczas — albo trzyma dwudziestu tysięcy dniówek kosiarzaf". A za jakie pieniądze wyposzczono Zresztą, kto to dokładnie policzył? Przed wyzwoleniem Potocki czmychnął do Liechtensteinu, a wcześniej wysłał tam jedenaście wagonów najcenniejszych pałacowych przedmiotów. Basak był wtedy szefem Wydziału Informacji w Okręgowym Sztabie Armii Ludowej w Łańcucie i jako jeden z pierwszych dowiedział się, że na zamku pakują się. To był dobry znak, bo stąd płynął wniosek, że wyzwolenie blisko, ale też aż nazamem, bo hrabia kradł w ten sposób to, co wcześniej z ludzi wyciągał. Konspiracyjna Powiatowa Rada Narodowa uchwaliła wówczas: ze trzeba w tym przeszkodzić. Tylko jak? Wagony wyjeżdżały pojedynczo, podczepione do różnych pociągów. Wyjadzić wiadukt kolejowy, to samochodami wywiozą i potem trzeba będzie jeszcze ten wiadukt odbudowywać. Można było tylko zasugerować tym, którzy pracowali w pałacu, ze powinni wolniej pakować.

*

Rosjanie przyszli 30 lipca 1944. Teren wokół pałacu zabezpieczyli żołnierze Armii Ludowej, chłopi z okolic Białobrzegów i Rakszawy. Samego pałacu pilnowała stara służba. Ale aktów zemsty ludu na upiorom nie było. Z radzieckiej gazety frontowej dowiedzieli się, że jest rząd polski; — WRN. Wydelegowali więc Basaka do Lublina.

— Podróż była skomplikowana — wspomina dzisiaj — bo samochody kursowały ze wschodu na zachód, a nie z południa na północ. Po drodze spotkałem Jana Aleksandra Króla z Kielecczyzny, który także jechał do Lublina. Był on posłem konspiracyjnym Krajowej Rady Narodowej i to dzięki jego bułnym oświadczeniom — „ja czuję polskosowo *prawdziwstwo*" — i dzięki pomocy „regulirowscy", dotarłem do Lublina. Tu dojrzewa zobaczyłem Manifest PKWN. Zacząłem czytać i treść coraz mocniej czułem na swoich ramionach, wiedziałem, że to mnie i mnie podobnym przyjdzie go realizować.

W Lublinie Zdzisław Basak dostał mundur, wskoczenie i nominację na podporucznika, za zasługi w partyzantce. Otrzymał też od PKWN pierwsze zadanie: doprowadzić samochód pełnomocnika PKWN w Rzeszowie, do stolicy województwa. Jam ten pełnomocnik, Bolesław Drobner, polecał samolotem. „Willys" wiózł „ładunek ideologiczny — setki arkuszy Manifestu Lipcowego. Wyraźnie w nim stało, czyja to będzie władza. Mieszkańcy Łańcuta słuchać więc stwierdzili: Przyszli chłopi do pałacu i rządzą". Bo wzięli sobie Manifest do serca.

*

— Niech pan nie wierzy, że ludzie nie chcieli brać ziemi z reformy rolnej — wspomina ówczesny przewodniczący Powiatowej Rady Narodowej, Antoni Wojnar. — Skoro w ciągu jednego tygodnia rozparcelowaliśmy siedem folwarków Potockiego o powierzchni ponad dwóch tysięcy hektarów, to znaczy, że niewielu było niezdecydowanych. Większość ludzi czuła, że to ich ziemia, bo ją przez tyle lat uprawiali, bo tak długo wsiąkał w nią ich pot, nie Potockiego. Więc brali — na co mieli czekać? Czasem najbiedniejsi chłopi zastanawiali się, bojąc się, że bez konia i narzędzi nie obrobią.

— Inni bali się, że „pan hrabia" wróci i co wtedy z nimi będzie?

— A ja takiemu tłumaczyłem, że on sam pierwszy Potockiemu w łeb da — wspomina dawny przewodniczący Wojnar. — Nakazywałem wdowkami PSL, którzy czekali na Mikołajczyka i rząd z Londynu. Ci chodzili po chałupach z krucyfikesem i na ten święty symbol zbierali przysięgę, że „cudzej" ziemi chłop nie weźmie. Jeździliśmy więc po wsiach, żeby ludzi przekonać do ofiary. Było takie hasło w reformie: *„W starej Polsce obiecali, w Odrodzonej ziemię dali"*. Albo inne: *„Złotą surzeiną w rzeźbionej czerwy jest pocztylion wspaw chłopskiej ery"*. Wiesziałemy, że, gdzie się dało i często powtarzaliśmy.

*

Mieniuczych było czterech: Zygmunt Mutlak i Ryszard Parlski z Łańcuta oraz Zygmunt Hahn i Stanisław Kaysler z Dzikowca. Na czele reformy rolnej dostali karty mobilizacyjne, jakby na front szli. Potem mieniuczych i ich współpracowników skoszarowano, ubrodno nie zawsze surowo zakazano pozostawania na noc we wsi. Rano wyruszali „Willysem" z przyczaiami i milicyjną ochroną. Mierzyli pola, wytyczali działki, a komitety folwarczne przydzielały je chłopom. Rozparcelacyjną w powiecie Łańcut kierował mieniuczy Stanisław Kotarski. Ciekawa to postać. Podczas wojny walczył w BCh. po wyzwoleniu został kierownikiem Powiatowego Urzędu Ziemiańskiego w Łańcucie. W literaturze historycznej i materiałach archiwalnych sporo złego pisze się o tych urzędach; sabotowały bowiem przygotowania do reformy rolnej, zatrudniały sporo przeciwników nowego ustroju. PKWN powołał w tej sytuacji tzw. pełnomocników ds. reformy rolnej. Ale urząd ziemski kierowany przez Kotarskiego był ostoją dla wrogów na Rzeszowszczyźnie, o którym w sprawozdaniach wyrażano się pozytywnie. I tylko jeden jedyny w Polsce kierownik urzędu ziemskiego został pełnomocnikiem PKWN ds. reformy — Kotarski właśnie. Policzrował reformę w Łańcuckiem w imponującym tempie. I jego aktywność i podstawy zjawiły, że historycy przypisali mu nawet członkostwo PPR, choć na prawdę był ludowcem.

— Na nasz dom napadali dwa razy — wspomina córka mieniuczego, Janina Baran. — Za drugim razem zorganizowali na ojca zasadzkę przy domu i czekali aż wróci. Na szczęście, kiło go ostrzegli. Dostawał też listy, że jak nie rzuci reformy, to go zabiją. Co myśmy wtedy przeżyli! Ludzie od Podkodego przyszli do nas w nocy i nieznawodzą: „Ty komunistki!". A po maturze w 1946 roku nie mogłam dostać pracy w Łańcuciu, tak nas miejscowa inteligencja nienawidziła.

Reformę rolną w Łańcuckiem zakończono w trzy tygodnie. Ich powiat był pierwszy w kraju. Wspomnienie ciężkiej pańszczyzny u Potockiego z pewnością miało na to istotny wpływ. Antoni Wojnar z żalem mówi, że dziś trudno już zebrać w całość wszystkie wspomnienia, fakty wyłatują z pamięci. Ale uroczystość zakończenia reformy pamięta dobrze. Były parowozownie, obtłaczono herb nad zamkiem, a potem zaprasżnowano wielki bal w pokojach Potockiego. Pięciuset chłopów z okolicznych wsi, gości honorowi z premierem Osóbką-Morawskim, radzieccy generałowie. Grały do rana dwie orkiestry, występował radziecki zespół artystyczny, poeta Ozga-Michalski recytował swoje wiersze. Po tej pamięta dla kolca tycia. A co jedli i pili? To, co chłopi ze sobą przynieśli: rada narodowa załatwiła parę beczek piwa. Jakżeby w takiej historycznej chwili bawić się o suchym pysku!

Zdzisław Basak ma natomiast współczesne reminiscencje.

— Różnym „emokierom", którzy dziś jeszcze smakują w pałacu żałosnych śladów tej zabawy, dedykuję fragment z Majakowskiego: *„Tędy, gdzie hołdy składano pokorne / Jedynowładcom kapiącym od złota, / Dzisiaj w kierunkach / Wiedzionych, w szyk konnicy / Czrmiąc bucisksmi, waliła hołota"*. A na kapcie i w Łańcuciu przyszedł czas. Sami żeśmy je zaprowadzali. Mówi się, że szpunt od beczek z piwem rozbijał się o Łańcuchowa. A ile zbrodni zwiększące piwo? Głupota. A co gorsza, ten i ów twierdził, że po wojnie wiele rzeczy z pałacu zginęło. Owszem, we wrześniu czterdziestego — czwartego, razem z Basakiem *AL* — Rozgrzeli przywiezliśmy do zamku obrazy z dworku Potockiego w Julinie. Zdeponowaliśmy je u pełnomocnika zostawionego przez Potockiego, a na pocztach uznawanego przez ludową władzę, bo majątek znał. Po latach, kiedy wróciłem do Łańcuka, szukałem tych obrazów. Na zamku ich nie ma. Nie były zapisane w żadnych księgach Łańcuchowa. A ta dowód, że ktoś przed wreczyłem pełnomocnikowi, tylko on o nich wiedział. Mówili że Rosjanie wzięli! A wie pan co wzięli? Pare łóżek do szpitala polowego. Koniew nie zrabował, bo wiedzieli, miesiąc w chałupie pod Rakszawą. Tylko przyjechał pałac zwiedzić. Rosjanie sami powiesili na bramie do posiadłości tablicę „Muzeli Polskoow Naroda". Taka jest prawda. A w 1945 roku muzeum wspoczęło pracę pełną parą.

*

A co z ludźmi?

Zdzisław Basak dostał w 1945 roku drugie zadanie od rządu polskiego: mianowano go „Pełnomocnikiem na Powiat Morski z siedzibą w Gdyni". I szedł, jak to wspomina, „śladami gąsienic czołgów", za wojskiem do Gdyni. Potem był tam pierwszym sekretarzem PPR.

Antoni Wojnar pozostał w Łańcuciu, ale następne lata nie były wcale łatwiejsze. Też gnieli ludzie. W 1945 zamordowano I sekretarza Komitetu Powiatowego PPR w Łańcuciu, Leję. A rok później — Koturskiego, tego co kierował reformą.

W 1964 roku Basak wpadł na pomysł ustawienia tablicy przy wejściu do byłej posiadłości Potockiego, o tym, że z nędzy ludu pałac zbudowany i że reforma rolna była dowodem dzisiejszej sprawiedliwości.

DARIUSZ SZYMCZYCHA

(5)

NASi NA ATLANTYKU

Poniedziałek — 14 maja

Nareszcie jesteśmy na morzu. Pięciodniowy postój był ze wszech miar sympatyczny, ale i męczący. Wędrówki po mieście i okolicy oraz wizyty i rewizyty mile się wspomina, lecz zbyt długo trwać one nie mogą. Jeśli w ciągu dnia śpi się od 20.00 do godziny 1.00 od północy do 04.00 (*pisia wa*[illegible]) [illegible] 04.00 do 08.00 [illegible] noce są jeszcze krótsze. Snuje się opowiadania, wspomnienia — a czas płynie szybko. W Saint Malo najprzyjemniej spędzaliśmy wolne chwile z poznanym tutaj małżeństwem p. Kozakow. Mieszkają oni w Saint Malo czasowo; ich jacht stoi o kilka kilometrów w górę rzeki i oczekuje na remont. Wcześniej, w ciągu 8 lat, na tymże jachcie o nazwie „Nasz Dom" opływali kulę ziemską. W międzyczasie dorobili się dwójki dorodnych dzieci, paru tysięcy słajdów oraz wspomnień chyba na całe życie. Są z nami do chwili oddania cum; później pójdą jeszcze żegnać nas na słaju. Wszyscy myślimy o tym, gdzie znów zejdą się nasze żeglarskie szlaki, chcemy żeby się zeszły.

Zatoka St. Malo wita nas dzisiaj spokojną wodą, ale dla równowagi siąpi nieprzyjemna mżawka. Wiatr około 2 st. B. Stawiamy dużo żagli i z szybkością 7 węzłów kierujemy się w stronę wyjścia z Kanału La Manche.

Wtorek — 15 maja

Przy słabych wiatrach 2—4 st. B. i ciągłej mżawce uzyskujemy dalsze 100 Mm. Mokro i zimno. Pocieszamy się, że i tak jest nieźle, bo np. przewiozł ładunek drewna w Danii zaledwie śnieżycy. W okolicy Ile de Quesant mile spotkanie z polskim statkiem „Kopalnia Machów" (tzw. siarkowiec). Wzajemne pozdrowienia przez ukaefkę i prośba o przekazanie naszej pozycji do Nowego Sącza. Naszej radiostacji w tego akwenu Gdynia — Radio nie usłyszy.

Wieczorem znów goście z lądu. Tym razem są to dwa ładowe ptaszki; bardzo zmęczone, zmokłe i zmarznięte. Mniejszy po około dwu godzinach — mimo iż Maciek zamiast jeść kolację, czytał go w dłoniach — niestety ginie. Chyba ze zmęczenia. Drugi śpi wczepiony w zasłonkę przy mojej koi.

Środa — 16 maja

Przechodzimy od północnej strony Zatoki Biskajskiej. To już właściwie Atlantyk. Wiatr tężeje do 5 st. B. Rośnie fala — znacznie dłuższa niż na Morzu Śródziemnym. Zmieniamy kurs z kursem 270 st. prosto na zachód, żeby nie wchodzić za głęboko w zawsze niebezpieczną zarówno dla jachtów,

Zygmunt Lubertowicz

Równorodna i ciesząca się w swoim czasie niemałą popularnością na Podhalu i Śląsku działalność Lubertowicza została niesłusznie zapomniana. Nawet setna rocznica jego urodzin przeszła na Podhalu bez większego oddźwięku. A szkoda, bo autor „Sonetów tatrzańskich" ze wszech miar zasługuje na głęboką pamięć jako poeta i wspaniały nauczyciel.

Urodził się 16 września 1883 roku w Nowym Targu, w rodzinie Ludwika i Wilhelminy z Beltowskich. Dzieciństwo upłynęło mu w niezmiernie trudnych warunkach. Ojciec jego przybył na Podhale po upadku powstania styczniowego. Podobnie jak Orkan, Zygmunt zawdzięczał swoje wykształcenie głównie trosliwej matce. Szkołę średnią i studia wyższe ukończył w Krakowie. Jako uczeń gimnazjum debiutował w roku 1901 wierszem „Śpiący rycerze".

Już jako uczeń, a później student na Uniwersytecie Jagiellońskim najchętniej czytał Homera, dramaty klasyczne, a także Goethego, Schillera, Byrona i wielkich romantyków polskich, ze wpółczesnych podobał Wyspiańskiego. I lektura ta wywarła decydujący wpływ na jego zbiorowe i osobliwe poglądy ideowo-artystyczne.

Postawa Lubertowicza wobec życia i literatury wykazuje wiele zbieżności z poglądami pisarzy i poetów debiutujących po roku 1900 (Staff, Jedlicki). W jego poezji ma ogół cechy tzw. młodej fali: ową modernistyczną malarskością, nastrojowością i muzycznością tak widoczną u Tetmajera, ulubionego poety—rodaka, o twórczości którego pisze naukowe; a już w ogóle obce były mu pesymizm i rezygnacja twórców końca wieku.

W debiutanckim tomiku „U wrót Getsamenu" (1909) zwraca uwagę cykl zatytułowany „Ludu, mój ludu". W tytułowym wierszu poeta utożsamia się z ludem, uważa się za jednego z „wrzych" braci, któremu matka nie mogła podać mleka i „nieraz jeno był cieniem człowieka, puchem i wełną..." Podobnie jak Kasprowicz i Wyspiański, spotrzegał lud prosty, widział w nim ogromną siłę i moc „zmartwychwstania" narodu, śniły mu się „jakieś krakowskie wesele i róg złoty... odnaleziony"; wskazówkami dowodzącymi do zaciągu rycerzy, to znów jawią mu się jako „wielki dzwon zaklęty, któremu jeszcze w piersiach nie grały tętenty". Ale, rzecz znamienna, dla dalek był od patriotycznego ożywiania ofiarowania wsi, jak wcześniej zaprezentował Jan Kasprowicz w sonetach „Z chałupy", krytycznie odnosił się również do młodopolskiej lubiczności, płytkiej zmiękczonej pieśni ludu, co zbliża go do poglądów Stanisława Wyspiańskiego wyrażonych w „Weselu".

Tatry i przyroda Podhala najpełniejszy znalazły wyraz w „Sonetach tatrzańskich" (1922), wyrosłych z autentycznego umiłowania krajobrazu rodzinnego i krajoznawczych zainteresowań poety. Dominuje jednak w sonetach Lubertowicza nie sfera refleksyjna, lecz opisowa, a obrazy górskiej przyrody nie są prolegi tych stanów duchowych, które wyrażali w swoich tatrzańskich lirykach poeci młodopolscy. W sposób naturalny i bezpretensjonalny mówi o Tatrach, Pieninach i Gorcach, przedstawia klimat i górską przyrodę w ich jej okazałości, ale bez sztucznego patosu — tak jak ją kocha i odbiera góral.

W dwudziestu dwóch sonetach, w tym czternastu poświęconych Tatrom, barwnie i plastycznie ukazał nie tylko Zawrat, Hale Gąsienicową, Siklawę, Orlą Perć, Gąsienicowe Stawy, lecz także zjawiska atmosferyczne: burzę w Tatrach, wieczór przy Wielkim Stawie, świt przy Morskim Oku. Wiele z tego tarzańskiego krajobrazu zostało ujęte w utworze wykspłoatowane, ale Lubertowicz swoim poetyckim opisom przyrody potrafił nadać sporo świeżej ekspresji. W rezultacie jest to najstarannie dopracowany i najlepszy pod względem artystycznym tomik spośród tego autora, stawiający go na wysokim poziomie w hierarchji mistrzów poetyckiego słowa.

Ale wróćmy do początków pracy zawodowej poety. Rozpoczął ją w roku 1909 jako nauczyciel języka polskiego w Brodach, a następnie Czerniowcach, gdzie walczył o polską szkołę i wygłaszał odczyty o literaturze podhalańskiej. W tym czasie oprócz wspomnianego tomiku „U wrót Getsamenu" Lubertowicz wydał prace krytycznoliterackie: „Palela barw i klejnotów w utworach Juliusza Słowackiego" (1910), „Kazimierz Tetmajer jako epik Tatr" (1911), „Krasiński jako wieszcz narodowy" (1912). Jednocześnie pisał artykuły i wiersze, które ogłaszał także w lwowskiej prasie.

W latach pierwszej wojny światowej Lubertowicz rozwinął twórczość patriotyczną, postulującą narodową solidarność i aktywność, odnoszącą się zarówno do aktualnych rać politycznych, jak i historycznych argumentów. Niektóre z ówczesnych jego wierszy ciesżyły się dużą popularnością, a „Hymn Podhalan" — „Nie darujmy Popradowej fali, Spisza, Orawy, Ojców sławy...", przekształcony później przy współpracy Stiastnego w piosenkę, stał się już niemal legendą.

Lubertowicz był prawie wszystkim wielkim działaczem narodowo-społecznym i kulturalnym, a dopiero potem poetą. Toteż nie mógł spokojnie i bez rozterki patrzeć na ogrom krzywd, jakich naród doznawał od wroga i zaborców, niewinnie przelaną krew ludu polskiego na obcych frontach. Stanął w pierwszych szeregach walczących o sprawę narodową i walczył najdzielniej: oczywiście piórem, które uznał doskonałe dostosowane do potrzeb chwili. W wierszu „Bronić ziemi", przedrukowanym niemal przez całą Polską prasę, a przypominającym „Rotę" Marii Konopnickiej, wzywał do brzęczenia pszczół, borców, którzy rugowali chłopa z ojczystej ziemi, prześladowali polskie słowo.

W tym okresie Lubertowicz częściej niż dawniej sięgał po wątki podaniowe i transcedentalne, mistotwórcze. Wiersz „Ballada o Wielkiej Wojnie" (1916) apelował do narodu o moc i trwanie, pomimo burz — na wzór nieporuszonych krzewów wiśnych. W analogiczne tony uderzał w utworze „Anioł Stróż".

Ale, rzecz znamienna, Lubertowicz do wojny odnosił się krytycznie, mimo iż miała ona przynieść Ojczyźnie od dawna upragnioną wolność. W okresie werbowania do Legionów odsyłał szesnasto- i siedemnastoletnich ochotników do „mamy", na tej czego dosło nawet do nieporozumienia między nim a Władysławem Orkanem. W wierszu „Domości uczniów na pole bitwy" ukazuje, że podobnie jak pozytywistom — równie ważna jak walka na froncie wydaje mu się praca na polu gospodarczym i społecznym. Jednak najbardziej przerażało wrażliwego poetę, że wojna wyzwala w człowieku najpodlejsze instynkty. W wierszu „Uśmiech Chrystusa" rozpaczliwie apelował:

Poeci ludów i proroki,
natchnieni, wielcy, piękni, smutni
czemuż w tej nocy tak głębokiej,
nie zabrzmią hasła waszej lutni.

Liryka patriotyczno-społeczna Lubertowicza, w wielu wypadkach przypominająca styl obrazowania poetyckiego Lenartowicza i Konopnickiej, jest na ogół słaba pod względem formalnym; charakteryzuje ją prostota środków poetyckich, klarowny sposób przedstawiania głównego problemu, szlachetny patos tonacji. Sila oddziaływania tych wierszy spoczywa głównie w sferze uczuciowej. Utwory odpowiadaniu na zapotrzebowanie społeczne, toteż w chwili, gdy ich treści uległy dezaktualizacji — zostały szybko zapomniane.

W roku 1916 przeniósł się wreszcie Lubertowicz do rodzinnego Nowego Targu, gdzie wiele się w owym czasie działo. Środowisko było mu częściowo znane, wielokrotnie w czasie wakacyjnych odbywał Związku Podhalan, m. in. wziął udział w pracach plebiscytowych na Spiszu, Orawie i Górnym Śląsku. W roku 1918 redagował „Echo Tatrzańskie", a w latach 1921—1922 „Gazetę Podhalańską".

Lubertowicza, podobnie jak wielu wybitnych polskich pisarzy i intelektualistów, odbudowa państwa polskiego zawiodła. Zbyt wiele dostrzegał słabości i niepraawidłowości społecznej, których zmożenie mogło być dzieła dnia. Dał wyraz swoim poglądom w licznych artykułach oraz w poetyckim zbiorku „Taniec paskarski czyli satyry dzisiejsze" (1920), w którym pieśniowi ustępowały ballady i kilka satyrach wystąpił też Lubertowicz przeciwko polityce Polskiego Stronnictwa Ludowego „Piast" i ośmieszył kampanię wyborczą.

Otwartość i odwaga, z jaką krytykował współczesne mu mankamenty, nie przyporządkowywie poecie przyjaciół. Dotknięci jego krytyką, zareagowali, w sposób typowy: w roku 1923 pozbawili go stanowiska redaktora „Gazety Podhalańskiej", w 1926 przesyszy czytelni katolickiej, a w 1927 odmówili mu stanowiska dyrektora gimnazjum w Nowym Targu. Rozżalony na „Jeruzalem" — jak w jednym z wierszy nazywał ówczesne miasto — Lubertowicz jeszcze w tym samym roku wyjechał do Bielska, gdzie został nauczycielem nowo otwartego gimnazjum polskiego. W tym podbeskidzkim mieście Lubertowicz, podobnie jak w poprzednich miejscach pracy, oprócz zajęć szkolnych prowadził działalność społeczną — występował na wiecach, jeździł z odczytami do Jaworzna, Dziedzic, Chybia, pracował w Czerwonym Krzyżu, Uniwersytecie Powszechnym, Macierzy Skolnej i w Bielskim Towarzystwie Teatralnym. Był także prezesem Oddziału Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w Bielsku (z jego inicjatywy wybudowano schronisko na Zwardoniu). Napisał także przewodnik turystyczny po Beskidzie Śląskim i Małym Beskidzie. Za działalność tę otrzymał w 1938 roku Złoty Krzyż Zasługi.

Z okresem pracy poety w Bielsku związane są gawędy, głównie w stylizowanej gwarze, dokumentujące wiarę, zwyczaje i obyczaje ludu podbeskidzkim. Bohaterami tych opowiadań są ludzie prości, zwyczajni, którzy żywo reagują na otaczającą ich rzeczywistość czy przypadki losu. Wymownym przykładem tego jest bo opowiadanie „Królewskie dzwony" — przedstawiające nowotarskie kobiety, które dzięki swej bohaterskiej postawie nie dopuściły do przetopienia dzwonów z kościoła miejscowego kościoła na austriackie armaty. Opowiadania Lubertowicza tematyką i sposobem kształtowania obrazu ludzi i rzeczy zbliżone są do Tetmajerowskich „Ballad i Legend" i „Baśni Tatr". Dał w nich Lubertowicz świetną charakterystykę ludu podhalańskiego, sprytnego i wesołego, co „wielki humor ma", a nade wszystko miłuje wolność i Tatry.

W przededniu drugiej wojny światowej Lubertowicz wygłosił kilka płomiennych przemówień przeciwko polityce Hitlera, toteż był później poszukiwany przez gestapo. Lata drugiej wojny światowej spędził we Wrocławiu, Świdnicy i Jaworzynie. Po jej zakończeniu powrócił do pracy w Bielsku, gdzie ciesył się dużym szacunkiem. Tu uczczono 30-lecie pracy poety obchodami jubileuszowymi, tempem pt. „Głos Młodych", w którym o jego dorobku pisali liczni wychowankowie oraz przyjaciele i wybitni ludzie pióra (Gustaw Morcinek). Nazwano także jego imieniem ulicę w Bielsku i Szkołę Tyszaciecia w Straconce.

Zygmunt Lubertowicz zmarł 28 września 1958 roku. W pamięci ludu śląskiego pozostał jako wspaniały nauczyciel i wychowawca. Był też jednym z tych zasłużonych działaczy i poetów Podhala, którzy — nie mogąc utrzymać na stanowisku we własnym regionie — pozostali mu jednak wierni do końca swojej działalności pisarskiej. Wprawdzie rozgłos literackiego nie zyskał, ale spuścizna literacka po zapomnianym poecie świadczy o niewątpliwym talencie i ciekawej osobowości jeszcze jednego z wykształconych Podhalan, którzy chwycili za pióro i problematykę swojej ziemi przenosili na sprawy ogólnoludzkie.

ANDRZEJ JAZOWSKI

---

jak i dużych statków Zatokę Biskajską. Piaszek, który przespał na zachcie oczy, nie wiedział nic o zbliżaniu się jachtu na oceanicznej fali. Jest jakby pijany. Wyskakuje na pokład, rozpala się i podrywa na nogi lotu, ale w tromę wody. W ostatniej chwili orientuje się, gdzie jest jego prawdziwy żywioł — i wzlatuje w górę. Robi pogranicze kółko nad jachtem i nieomylnie kieruje się w stronę lądu.

Jest cieplo, około 13.00 wychodzę słońce, tak radko do tej pory w naszym rejsie widziane. Można posłuszyć możre ubrania i sztormiaki. Ostatnia doba jest korzystna dla mnie jako dla II oficera. Dzięki atlantyckiej fali niektórzy koledzy pozwalają mi zaoszczędzić trochę żywności, a deszczu zbąwy z żagli poprzednio ciągu, że zupełnil nasze zapasy wody o około 20 l. Byłoby więcej — ale pierwszej godziny pracy naszego „wodociągu" dawały wodę słoną — rozpuszczała się sól z takielunku i ożaglowania... Woda jest teraz — dla nas jednym z najcenniejszych artykułów. Mamy 400 l w zbiorniku i około 300 l w puszkach konserwowych wykonanych specjalnie w Sądzie Wojewódzkim Towarzystwa Owocowo-Warzywnego. Ale te puszki to zapas wyłącznie awaryjny, bo przecież na morzu tak wielujżd z pragnienia, jak na pustyni. Mamy po 2 l wody na osobę w ciągu doby. Wypada po około 2 szklanki herbaty, po śniadanie i kolację, po litrze na obiadu. Mycie na deszczu. Dzięki deszczówce możemy też sobie pozwolić na luksus przedpołudniowej kawy. Co trzeci dzień będzie ponadto zakupiona we Francji wino do obiadu.

Prawdziwą radość sprawiły nam dzisi delfiny. Podpłynęły do jachtu na tym stadem i pilotowały nas, popisując się pięknymi skokami. Cieszyliśmy się jak dzieci: tak wspaniałą harmonią i elegancją ruchu, swobodą i równością szybkości nie mogą się poszczycić chyba żadne inne zwierzęta.

Czwartek — 17 maja

Na *Świtóżnicę* Edek zbudził mnie o pół godziny wcześniej. Jest praca przy żaglach i dłużej nie można czekać. Obydwaj Edkowie sami nie dadzą rady. Wiatr w ciągu kilkunastu minut z 5 st. B wzrósł do 8 st. B. Pierwszy sztormowy szkwał na Atlantyku. Pierwszy też raz trzeba refować żagle. Wiatrowskazy wieje spokojnie 6 st. B. Ale z NW zbliża się czarna, nabrzmiała deszczem chmura. Wiemy już, że za chwilę powieje. I znów szkwał 8—9 st. B, przez około 15 minut. Podczas szkwału zrzucamy niebezpiecznie trzeszczącą genuę (dużą żaglicę przed i zmieniamy ją na niewielkiego foka. Po szkwale prawie 2 godz. zupełnie bez wiatru. Dopiero między godz. 7 a 8 wznawiamy normalną żeglugę.

Po przejściu 10 st. dl. geogr. zach. i mimo, że niebezpieczeństwa wypędzenia na Biskaj zmniejszyły się na 240 st. — to znaczy wprost na Azory. Skończył się nam zapas chleba zakupionego w Gdyni. Wydzielał przy zakupie nieszczególnie, a trzymał się doskonale. Przez prawie trzy tygodnie jedliśmy go ze smakiem i nawet ostatni bochenek nie spleśniał. Od wczoraj jemy chleb z puszek zdobytych przy pomocy ZW LOK w Nowym Sącz.

(Z relacji JANA PETRYLA)

(Ciąg dalszy nastąpi)

Nie ulega wątpliwości, że zachodni sojusznicy odkryli się do Poczdamu, bynajmniej nie z przepojeni duchem dobrej woli wobec Związku Radzieckiego. Jeszcze w kwietniu prezydent Truman twierdził, że *„Rosja na mar być sztywny w moich stosunkach z rządem radzieckim."*

Japoński „języczek u wagi"

Wcielając jakby w czyn te zamiary, już 8 maja podpisał polecenie o niezwłocznym i całkowitym wstrzymaniu wszystkich dostaw w ramach lend-lease, uruchamiając tym samym broń ekonomiczną przeciwko Związkowi Radzieckiemu. W tym samym czasie Truman wystosował do Stalina pismo, w którym, usiłując roznawiać ze Związkiem Radzieckim językiem ultimatum, kategorycznie domagał się udziału polskiego Rządu Tymczasowego i udziału Polski w konferencji założycielskiej ONZ w San Francisco.

Ale właśnie wówczas Truman i jego najbliższe otoczenie doszli do smutnego dla siebie wniosku, że USA bez pomocy Związku Radzieckiego nie osiągną rychłego zwycięstwa na wojnie na Dalekim Wschodzie. Natomiast anglosko-amerykańskie kierownictwo wojskowe zjednoczonego Dowództwa wzięło dowczego było przekonane, że Japonia nie skapituluje dopóki ma w odwodzie armię radziecką na Wschodzie. Wiedziano również, że jeszcze 26 stycznia 1945 r. tokijska Najwyższa Rada Kierownicza Wojna zatwierdziła dokument pt. „Wytyczne dla Japonii będzie prowadziła przewlekłe działania wojenne i utworzy system aktywnej obrony, operacyjne na terytorii nad rzekami Amur i Ussuriwej Japonii, a także Mandżurii i innych okupowanych rejonów Chin. Amerykanie dokonali dokładnej oceny sprawę ze znaczenia tej decyzji. Sam Truman przyznawał: *„Istniała wiele przyczyn mojego sojuszu, dla Poczdamu, jednakże najpierwiejsza sprawą, jaki mi się wydawało, było uzyskanie od Stalina osobistego potwierdzenia, że Rosja wyruszy dla wojny z Japonią. Było to czym niasze kierownictwo wojskowe było najbardziej zainteresowane."*

Sprawy do wyjaśnienia

Konferencja poczdamska obradowała w centrum pokonanych Niemiec w dniach od 17 lipca do 2 sierpnia 1945 r. Jednakże nie tylko złożony charakter wielu znaczenie sprawowych problemów były przyczyną tak długich obrad. W pracy konferencji ogłoszono szczegółowo przyczyn w ciągu wdzięcia delegacji angielskiej wzięcia udziału w końcowym etapie wyborów do parlamentów Wielkiej Brytanii. W Poczdamie przywódcy zwycięskich mocarstw powinni był przede wszystkim podjąć ostateczne decyzje w sprawie przyszłości Niemiec, które w dużym były inejatorem wojen światowych. Rząd radziecki uczestniczył w konferencji poczdamskiej z niezłomnym zamiarem nieutożsamiania narodu niemieckiego z hitlerowską kliką i niestosowania wobec niego polityki zemsty. Biorąc za podstawę zadanie demokratyzacji i demilitaryzacji Niemiec wywarła z korzeniami faszyzmu i wszelkich jego pozostałości uwzględnienie zarówno na niezbędne zapewnienie wszelkich możliwości rozwoju Niemiec jako jednolitego, demokratycznego i pokojowego państwa. Zgodnie z opinią rządu radzieckiego polityka sojuszników Rosji była wspólnie ustalona, brak jej było orientacji na pokojową przyszłość Europy. W dyrektywie prezydenta USA do dowództwa amerykańskiego w Europie z 10 czerwca 1945 r. stwierdzano, że *„Niemcy są okupowane nie w imię ich wyzwolenia, lecz dlatego, że są one pokonanym sojusznikiem krajem"*. Trzeba było ostatecznie wyjaśnić te problemy.

Epizod berneński

Chodziło nie tylko o uzgodnienie zagadnień, które po Jałcie nie zostały jeszcze ostatecznie rozstrzygnięte. Określonego wyjaśnienia wymagały także stosunki między sojusznikami, które rzuciły cień pewne wydarzenia ostatnich tygodni wojny. Tak więc, nie mogła przeminąć bez śladu próba podjęcia separatystycznych rokowań z emisariuszem hitlerowskiego dowództwa generałem K. Wolffem nowojuszym z tak dowcną postacią w hitlerowskim kierownictwie, jak Himmler w imieniu oligarchii hitlerowskiej generał Wolff nawiązał kontakty z przedstawicielami amerykańskimi i angielskimi celem podjęcia rokowań w sprawie kapitulacji niemieckich sił zbrojnych w Północnych Włoszech. Rokowania w tej kwestii odbywały się przez dwa tygodnie marca 1945 r. w stolicy Szwajcarii Bernie poza plecami Związku Radzieckiego, który nóżi na swoich barkach główny ciężar wojny z Niemcami. Epizod berneński nie zmieniał za sobą praktycznych następstw, ale nie mógł pozostać bez ujemnego wpływu na stosunki międzysojusznicze. Rosja od powieria wyrażenie z podejrzeń w Jałcie sobowarzyszeniem takich mocarstw, że będą prowadzić wobec hitlerowskich Niemiec uzgodnioną politykę.

Polityka ta miała na celu zapewnienie takich warunków rozwoju Niemiec, które uniemożliwiłyby ich powrót na drogę agresji. W imię tego należało dokonać pełnej demokratyzacji kraju i na zawsze wyplenić tam militaryzm i agresję. Umożliwienie narodowi niemieckiemu zrealizowania swego zwycięstwa na demokratyczną, pokojową podstawę było proklamowanym w Poczdamie głównym celem sojuszników zachodnich. Do wcielenia tego w życie zmierzał uchwalony na konferencji dokument „Zasady Polityczne i Ekonomiczne mające służyć za podstawę do traktowania Niemiec w początkowym okresie kontroli". Komunikat głosił: *„Niemcy militaryzm i nazizm będą usunięte z korzeniami i sojusznicy za wspólnym porozumieniem podejmą obecnie i w przyszłości inne niezbędne kroki, żeby Niemcy już nigdy więcej nie stały się groźbą dla swoich sąsiadów albo dla bezpieczeństwa pokoju światowego".* Zdamatemiany to zobowiązanie, albowiem z problemem wolenia tub niewolenia go w życie wiele się starzyło w stosunkach wzajemnych sojuszniczych w późniejszym okresie.

Decyzje i sabotaż

Trzy wielkie mocarstwa nie zamierzały bynajmniej kontrolować zamiast narodu niemieckiego jego własnego przyszłego ustroju jego kraju. Nazbyt było dla nich, jak też postanowiły w Poczdamie, przyczynienie się do demokratycznej przebudowy Niemiec. Wielkiego Niemiec, likwidacja niemieckiego militaryzmu i faszyzmu we wszystkich ich przejawach, zniszczenie niemieckich zjednoczeń monopolistycznych ponoszących główną odpowiedzialność za rozpętanie dwóch wojen światowych. Problemom tym poświęcono 9 rozdział polityczny dokumentu podpisanego w Poczdamie. W rozdziałach ekonomicznych dotyczące znaczenie miała zgoda sojuszników na traktowanie Niemiec jako jednolitej całości gospodarczej. Przewidywano m. in. utworzenie centralnych ogólnoniemieckich departamentów gospodarczych — przemysłowego, finansów, transportu, komunikacji i handlu. Decyzje te, mimo że nie zostały wykonane ze względu na ich faktyczny sabotaż przez mocarstwa zachodnie, odegrały pozytywną rolę: odczyty w kilka lat później w Londynie i Waszyngtonie (bez względu na podjęte zobowiązania) rozbicia Niemiec na dwa państwa — zachodnie i wschodnie.

Sprzeczności

Jak przypuszczamy w „ścisłych wspomnieniach jego [illegible] współpracownik, amerykański admirał Leahy, prezydent Truman przywiózł do Poczdamu niemiecki Wielki Plan Zniszczenia Rzeszy. Nadrzeń w niepodległe państwo, a także utworzenia państwa południowoniemieckiego składającego się z Austrii i Węgier, do których miała być przyłączona Bawaria i inne tereny południowoniemieckie. Szczegółowej debaty nad tym projektem nie podjęto po stanowczym oświadczeniu Stalina: *„Odrzucamy tę propozycję jako nienaturalną. Zamiast dzielić, należy urządzić Niemcy jednolitym państwem demokratycznym, miłującym pokój."* Z drugiej strony, w wyniku sprzeczów USA i Wielkiej Brytanii, nie przyjęto również propozycji radzieckiej o utworzeniu Tymczasowego Rządu Ogólnoniemieckiego, który by zapewnił koordynację działalności tymczasowych organów władzy oraz administracji w sprawach politycznych na terytorium całych Niemiec.

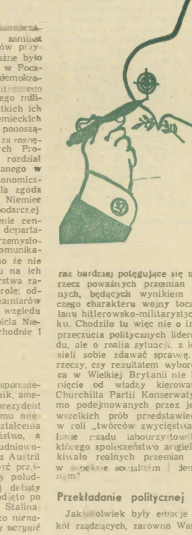

Co musiał przyznać Kennan

Spoglądając dziś wstecz na przebieg i wyniki konferencji poczdamskiej, rozpatrując je w połączeniu z późniejszym biegiem wydarzeń, nasuwa się w pełni uzasadniony wniosek, że chociaż trzy mocarstwa osiągnęły na niej pewnymi decyzje dotyczące głównych kierunków współpracy polityki wobec Niemiec: USA i Wielka Brytania posiadały już wówczas wtedy w ogóle odrzucił w Niemczech, różniący się gruntownie od uzgodnionego, oraz że Londyn i Waszyngton miały na względzie właściwie wyraźnie charakter dalszej współpracy z ZSRR i zamierzały już w niedalekiej przyszłości podjąć rewizji ostatecznie to porozumienia. Przeczyć poglądy panujące w owym czasie w kierownictwach kołach USA i Wielkiej Brytanii, amerykański dyplomata G. Kennan pisał: *„Idea Niemiec rozdzimych wspólnie z Rosjanami jest chimerą... Nie mamy innego wyboru oprócz prowadzenia naszej części Niemiec — części, za którą wspólnie z Anglikami ponosimy odpowiedzialność — do niepodległości... Należy przyznać, że jest to rozczarowanie".*

Sugestie dotyczące przyszłości pokojowego Niemiec były istotne, ale nie jedyne. Temat obrad w Poczdamie stanowiło też o wiele większym znaczeniu, a mianowicie plany takiego zwrotu w polityce zagranicznej, który mogłoby zostać zrozumiany i zaakceptowany przez opinię publiczną Zachodu, w tym również Stanów Zjednoczonych. Co więcej, chodziło nie tylko o przybierającą na sile aktywność rasa w polityce zagranicznej, ale przede wszystkim o coraz bardziej polegujące się nastroje na rzecz poważnych przemian wewnętrznych, będących wynikiem wyzwoleńczego charakteru wojny toczonej z siłami hitlerowsko-militarystycznego bloku. Chodziło tu więc nie o intuicję lub przeczucia politycznych liderów Zachodu, ale o realną sytuację, z której musieli oni zdawać sprawę. W samej rzeczy, czy rezultatem wyborów 26 lipca w Wielkiej Brytanii nie było odsunięcie od władzy kierowanej przez Churchilla Partii Konserwatywnej mimo podejmowanych przez jej liderów wszelkich prób przedstawienia siebie w roli „twórców zwycięstwa" i powołanie rządu labourzystowskiego od którego społeczeństwo angielskie oczekiwało realnych przemian na drodze w społeczne socjalizm i demokratycznym?

Przekładanie politycznej zwrotnicy

Jakie istotnie były emocje i nastroje kół rządzących, zarówno Waszyngtonu, jak i Londynu, nie mogły się one uchylić od faktów. Do chwili zakończenia wojny przyznawał sekretarz stanu USA Byrnes, *„naród nasz pokładał wielkie nadzieje"* w dalszej współpracy amerykańsko-radzieckiej i *„nasza odmowa dalszej współpracy z Rosjanami stałaby się przyczyną ostrzamiąo rozczarowania jeśli nie oburzenia"*. O tym samym mówią również źródła brytyjskie. Marszałek polny Montgomery w gruncie rzeczy wskazywał na te same nastroje: *„Naród angielski miał już wojny powyżej uszu i w 1945 r. nie dałby się przekonać o konieczności walki, z Rosjanami. Każdy rząd angielski, rozpoczynając taką wojnę, sam zgotowałby dla siebie katastrofę w kraju"*. Z jeszcze większą otwartością wypowiedział się angielski historyk wojskowości Ch. Wilmot, który nie uchodził brytyjmiary za sympatyka Związku Radzieckiego. *„Opinia publiczna Zachodu, była w swojej większości w równym stopniu przerażona, co i antyimiencka. W wyniku tego rządy brytyjski i amerykański, będąc nawet do tego skłonne, nie mogłyby uzyskać społecznego poparcia dla polityki powstrzymywania Rosji lub przeciwdjęcej coś mniej radykalnego, niż wyrzeczenie z korzeniami niemieckiego militaryzmu"*. Słowa te nie wymagają komentarzy.

W zaistniałej sytuacji Waszyngtonowi i Londynowi, chcącym iść na ustępstwa zastanawiano nad nową orientacją polityki zagranicznej, nie pozostawało nic innego od zajęcia wyczekującej postawy, przygotowując się po kryjomu do przejścia na inne tory polityczne oraz ukrywając do czasu taką zmianę orientacji w nadziei, że napotka ona mniaalmy opór opinii publicznej. W ostatecznym rezultacie, w ciągu miesięcy przekonać, nie odeście Związku Radzieckiego od linii jałtańskiej, lecz zmiana kamieni milowych w polityce Zachodu była źródłem przewlekłych pertraktacji w Poczdamie.

Kiedy H. Truman poczuł się pewny siebie

Należy stwierdzić, że zakłomo Truman, jak i Churchill już w toku konferencji liczyli na rewizję wszystkich jej decyzji w niedalekiej przyszłości. Przyczyną tego były ich nadzieje na wejście w posiadanie bomby atomowej. Już na początku konferencji znali oni wynajek powołanego przez prezydenta USA Tymczasowego Komitetu do spraw rozpatrzenia problemu użycia bomby atomowej. Wielbiciel Radzieckiej obiejże atomowe sekrety w ciągu dwóch lub trzech lat, ale nie będzie w stanie realnie skonstruować bomby wcześniej niż za 6 lub 7 lat, a do tego czasu USA daleko posuną się naprzód w tej dziedzinie". Jak oświadczył Churchill na posiedzeniu angielskiego komitetu szefów sztabów, „tajemnica tego materiału wybuchowego oraz możliwość jego użycia w walce przyczyni wzrost dyplomatyczną, która utraciła swoją stabilność po klęsce Niemiec"

Pierwszej probnej eksplozji bomby atomowej dokonano 16 lipca, w przededniu otwarcia konferencji poczdamskiej, na pustyni amerykańskiego stanu Nowy Meksyk. Następnego dnia Truman otrzymał szczyfrowany meldunek: *„Operacja odbyła się dziś w podczerwonych. Dnia [illegible] nie, wyszcze pełna, ostatnie wyniki okazały się pomyślne i już przeszły wszelkie oczekiwania"*. Mimo to prezydent nie był jeszcze w posiadaniu pełnych informacji. Dostarczył je do Poczdamu 21 lipca specjalny kurier za oceanu. Jak pisał R. Murphy, jeden z amerykańskich uczestników konferencji, *„Prezydent Truman przewodniczył na czwartym posiedzeniu plenarnym, zaproponował gruntowną zmianę w zachowaniu się prezydenta. Robił wrażenie bardziej pewnego siebie i był więcej skłonny do aktywnego udziału w dyskusji oraz do oponowania wobec niektórych oświadczeń Stalina. Stał ulegało wątpliwości, że coś się wydarzyło"*. Szef brytyjskiego Imperialnego Sztabu Generalnego A. Brooke zwierzył się w swoim dzienniku, że Churchill już uważał, że jest w stanie [illegible] wszystkie ośrodki przemysłowe i ludność Rosji.

(ciąg dalszy nastąpi)

WADIM NIEKRASOW (3)

Gdy w Europie umilkły działa

Rady doktora Emila Bardysza

ŻYLAKI

Na żylaki kończyn dolnych zapadają najczęściej ludzie, którzy pracę zawodową wykonują w pozycji stojącej. Są to sprzedawcy, kelnerzy, gospodynie domowe, rolnicy. Długotrwałe stanie lub chodzenie utrudnia normalne krążenie krwi. Ludzie, którym brakuje nogi, wiedzą dobrze, że wystarczy położyć się i oprzeć kończyny, np. o poręcz łóżka, by odczuć i to bardzo wyraźnie, jak krew odpływa ze stóp i łydek.

Mechanizm powstawania żylaków jest ścisle związany ze zniszczeniem zastawek i rozszerzeniem żył. Rozpoznanie jest łatwe, polega na stwierdzeniu zgrubiałego uwypuklenia żyły, jej krętego przebiegu oraz zmniejszenia lub też zaniku elastyczności jej ściany.

Nie leczone żylaki są przyczyną szeregu dolegliwości i powikłań. Obok bólów pojawiają się dokuczliwe obrzęki. Ma miejsce zastój krwi w rozszerzonych fragmentach żył dochodzi do zaburzeń odżywczych. Na przysłonkowej powierzchni podudzia zjawia się brązowe zabarwienie skóry. W miejscach, gdzie wystąpią nawet niewielkiego zadrapania, występuje *owrzodzenie*. Jest ono bardzo uporczywe i niewyklie trudne do wyleczenia. Jeden z generałów angielskich w XVIII wieku tak pisał: *„Zadna choroba nie pozbawiła wojsk Jego Królewskiej Mości tylu żołnierzy, co owrzodzenie podudzia"*.

Innym powikłaniem żylaków jest ich stan zapalny przejawiający się w podbrzuszu silnym stwardnieniu żyły. Formują się skrzepy, które stwarzają niebezpieczeństwo zaczopowania tętnic. Leczenie zachowawcze polega na zmianie trybu życia i pracy oraz na nosżeniu elastycznych pończoch lub bandaży.

Krótkotrwałe odpoczynki odciążające żylakowate kończyny przynoszą częściową ulgę. Jednak trwały skutek gwarantuje tylko leczenie operacyjne. Leczenie żylaków powikłanych trwa niekiedy bardzo długo. Ważne jest, aby rozpocząć je wcześnie, wówczas proces chorobowy może być zahamowany.

CUKRZYCA

Podstawowym lekiem stosowanym w cukrzycy jest insulina — lek, który w wielu przypadkach ratuje chorym życie. W normalnych warunkach wytwarzana jest ona w ustroju człowieka przez trzustkę. Zniszczenie tego organu wywołuje chorobę. Dla celów leczniczych otrzymujemy insulinę poprzez ekstrakcję z trzustek wieprzowych i wołowych odpowiednio preparowanych.

W cukrzycy oprócz systematycznego podawania insuliny duże znaczenie odgrywa dieta. Trzeba również podkreślić poważne zagrożenie związane z tą chorobą. Niedobór insuliny może spowodować śpiączkę ketonowo-cukrzycową. Przedawkowanie zaś insuliny doprowadza do śpiączki cukrzycowej, związanej z niedoborem glukozy we krwi. W cukrzycy występują także inne powikłania obejmujące drobne naczynia różnych narządów, a zwłaszcza oczy, nerki, serca, kończyn itd. Powikłania te stanowią nieraz trudną barierę w przedłużaniu życia chorych. Mają również istotny wpływ na aparat odpornościowy człowieka, odgrywają bowiem ważną funkcję w zwiększonej podatności organizmu na różnego rodzaju infekcje, zakażenia bakteryjne i wirusowe, schorzenia skóre i inne.

Wyróżniamy dwa typy cukrzycy. Pierwszy występuje u osób z normalną masą ciała lub niedowagą. Natomiast typ drugi kojarzy się z otyłością. Dla typy drugiego mają różny przebieg i wymagają innego leczenia. W typie pierwszym podawanie insuliny jest niezbędne, a w typie drugim insulinoterapia jest znacznie mniejsza. Inne są również objawy chorobowe. Ten pierwszy charakteryzuje się wzmożonym pragnieniem, zwiększonym oddawaniem moczu, chudnięciem. W cukrzycy drugiego symptomy patologiczne narastają stopniowo, a często wykrywa się je zupełnie przypadkowo.

Co jest najważniejsze w cukrzycy? Przede wszystkim wczesne wykrywanie i rozpoznanie schorzenia, co w konsekwencji umożliwia podjęcie właściwego leczenia. Trzeba tu pamiętać o ewentualnych obciążeniach dziedzicznych. Tak jak i w innych schorzeniach niezwykle ważna jest profilaktyka, która dotyczy zwłaszcza drugiego typu schorzenia. Należy po prostu unikać otyłości poprzez racjonalne odżywianie, stosowanie ruchliwego trybu życia i pracy, a w przypadku zaistnienia wątpliwości co do stanu zdrowotnego należy poddać się badaniom testowym umożliwiającym wykrycie glukozy w moczu. Badania tego typu są również bardzo wskazane w wieku starszym u tych osób, które mają przewlekłe choroby dermatologiczne bądź długo nie gojące się rany.

Terapia cukrzycowa trwa na ogół przez całe życie, lecz nie u wszystkich osób musi być ona intensywna. Tylko około 20 procent chorych na cukrzycę wymaga leczenia insuliną. Pozostałe leczone są z dobrym skutkiem lekami doustnymi i dietą, albo nawet wyłącznie dietą.

BÓLE GŁOWY

Bóle głowy należą do dolegliwości najczęściej nękających człowieka. Z medycznego punktu widzenia dzielimy je na samoistne i objawowe. Do bólów samoistnych należy migrena, charakteryzująca się okresowym występowaniem dokuczliwych napadów. Na nawroty bólów migrenowych mogą wpływać takie czynniki jak: stress, okres odprężenia po przeżyciach emocjonalnych, zmiany atmosferyczne, niedosypianie lub nadmierne długi sen, czytanie w łóżku, niektóre pokarmy (m. in. kakao, sery, pomidory, owoce cytrusowe, tłuste potrawy) i alkohol.

Migrenę mogą również spowodować leki rozszerzające naczynia, papierosy, pozostawanie na słońcu, silne światło, telewizja, hałas, długa jazda pociągiem, samolotem, autem i tańce wirowe.

Prof. dr A. Prusiński zaleca „migrenowcom" umiarkowane uprawianie sportu i spacerów, relaks w ciągu dnia, wycieczki i wypełnianie czasu wolnego atrakcyjnymi zajęciami. W migrenie te tylko ważne jest zwalczane samych napadów bólów, ale także zapobieganie ira. Ból głowy można zlikwidować używając Pyralgine albo Isolgine. Godne polecenia są również Polopiryna C lub Polopiryna S, a także tabletki przeciwbólowe z krzyżykiem. Dostępne są również w aptekach i inne preparaty przeciwmigrenowe, których zastosowanie powinno jednak zależeć od decyzji lekarza.

— Przedtem pracowałem jako nauczyciel, ale nerwy nie wytrzymały.

W zapobieganiu napadom migrenowym istotną funkcję przypisuje się także psychoterapii, a ostatnio coraz częściej mówi się o profilaktycznej roli akupunktury, zwłaszcza u tych chorych, w których terapia lekowa okazała się bezskuteczna. Każdy przypadek terapii zapobiegawczej powinien być określony przez lekarza.

Oprócz bólów migrenowych wielu ludzi odczuwa nieraz tzw. ból głowy napięciowy pochodzenia naczynioruchowego. Bóle tego typu mogą trwać nieraz przez wiele lat, a leczenie ich nie jest sprawą łatwą. W postępowaniu zapobiegawczym, obok środków farmakologicznych, istotną rolę odgrywa uregulowanie trybu życia i odżywiania, uprawianie sportu i zachowanie współistniejącego często podciśnienia tętniczego. Konieczne jest ponadto złagodzenie konfliktów w życiu chorych, zapewnienie stanu spokoju psychicznego.

Inna postać bólu głowy, spowodowana zmianami patologicznymi w obrębie kręgosłupa, związana jest z tzw. migreną szyjną. W schemeniu tym dobre rezultaty osiąga się za pomocą zabiegów na kręgosłupie szyjnym wykonywanych — rzecz jasna — przez specjalistę. Zabieg taki przynosi często natychmiastową ulgę. Podobne efekty daje także masaż mięśni kręgosłupa.

Czasem wystarczy otworzyć okno w pokoju lub przejść się po świeżym powietrzu, zjeść coś i wypić szklankę dobrze osłodzonej mocnej herbaty — i ból głowy minia. U „niskociśnieniowców" podobną rolę może odegrać filiżanka kawy. Osobom zmęczonym zalecam odpowiedni relaks i uspokajającą herbatę ziołową.

CHOROBA WRZODOWA

Jak się wydaje, nie ma jednolitej przyczyny choroby wrzodowej. W powstaniu schorzenia współdziałają mechaniizmy pozażołądkowe, w których decydującą rolę odgrywa stan psychiczny. Do czynników sprzyjających należą: stres, sytuacje konfliktowe w pracy lub w rodzinie, niepowodzenia życiowe, nieunormowany tryb życia, nieprzestrzeganie godzin posiłków, nieracjonalne odżywianie oraz palenie tytoniu.

Szczególnie duże znaczenie przypisuje się lękowi wraz z jego fizjologicznymi przejawami prowadzącymi do strukturalnych zmian w organizmie. Lęk należy bowiem do najbardziej silnych i intensywnych emocji. Towarzyszą mu zmiany w układzie wegetatywnym. Podwyższenia ulega ogólne napięcie narządowe objawiające się między innymi skurczami żołądka, kołataniem serca, rozszerzeniem źrenic, zaburzeniami rytmu oddechowego.

Podobnie niekorzystną rolę spełniają czynniki biochemiczne, a więc jakość środowiska i odjęcia od prostych naturalnych form żywienia. Oprócz środków odkażających, konserwujących, przeciwpasożytniczych, smakowych, zapachowych dodawanych obficie do gotowych produktów lub półfabrykatów, chodzi o chemizację produkcji rolnej. Prawie cała żywność na świecie jest już tymi środkami skażona.

Wielkie znaczenie przy chorobie wrzodowej ma palenie tytoniu. Nikotyna, poza szkodliwym działaniem na układ krążenia, hamuje wydzielanie alkalicznego soku trzustkowego do dwunastnicy i poprzez to uniemożliwia zobojętnienie kwaśnej zawartości żołądka. W tej sytuacji błona śluzowa dwunastnicy narażona jest na drażnienie kwasem solnym i łatwo może ulec uszkodzeniu.

Zagrożenie chorobą wrzodową zwiększa się wraz z nasileniem konsumpcji różnych leków, które mogą mieć działanie uboczne. Leki te są odpowiedzialne za 11 procent przypadków krwawień z żołądka.

Znanym czynnikiem negatywnym jest też nadużywanie alkoholu prowadzące nieraz do uszkodzenia błony śluzowej, poprzez zakłócenie jej prawidłowych czynności wydzielniczych. Rzekomo pozytywny wpływ napojów alkoholowych na tzw. dolegliwości żołądkowe jest czystą iluzją. Po chwilowym złagodzeniu dolegliwości następuje ich zaostrzenie. Dodajmy, że picie kawy też nie zawsze jest dobroczynne.

Oczywiście w organizmie jest wiele mechanizmów nie dopuszczających do powstania i rozwoju choroby wrzodowej. Należy do nich odporność dziedziczna i odporność ogólna, psychosomatyczna. Ważną funkcję ochronną spełnia prawidłowa czynność układu nerwowego. Rolę osłaniającą odgrywa błona śluzowa żołądka i zawarte w niej czynniki anatomiczne i biochemiczne. Warto jednakże pamiętać, że wiele przyczyn choroby wrzodowej wywodzi się z naszego trybu życia, stresów i nałogów.

KARIERA OTRĄB

Otręby znakomicie wpływają na prawidłowe funkcjonowanie przewodu pokarmowego, a zwłaszcza na wydalanie. Są bogate w błonnik, wodowodno, że zapobiegają zaparciom, zalecane są osobom chorym na cukrzycę, stosowane są także w chorobach otyłości. Skład otrąb jest niezmiernie bogaty. Oprócz składników pokarmowych zawierają również duże ilości sodu, potasu, wapnia, magnezu, fosforu, żelaza i cynku. Słowem — stanowią doskonałe uzupełnienie naszego niepełnowartościowego odżywiania.

Winę za ten żywieniowy mankament ponosi przede wszystkim współczesna cywilizacja. Spożywamy białe pieczywo, za mało jest na naszych stołach warzyw, jarzyn i owoców. Nie doceniamy naturalnych środków odżywczych powodując tym samym różne niedyspozycje naszego organizmu. Jedynym z takich naturalnych środków odżywczych jest błonnik, którego, niestety, większość posiłków została pozbawiona. Właśnie otręby zawierają go w dużej ilości. Dodajmy, że błonnik jest w tubie lub bibi i marchew, w mniejszym stopniu sałata. Błonnik nie występuje ani w przetworach mlecznych, ani mięsnych.

Z punktu widzenia lekarskiego otręby są zalecane osobom odżywiającym się niewłaściwie, cierpiącym na dolegliwości obstrukcyjne, prowadzącym siedzący tryb życia. Dzienne zapotrzebowanie na otręby dla dorosłego wynosi pierwszych kilku tygodni przekraczać 3 łyżek stołowych (15 g). W miarę upływu czasu ilość tę można zwiększyć do 25 g. Są różne formy spożywania otrąb. Przepisy możemy znaleźć na opakowaniach otrąb zakupionych w sklepie.

Niezależnie od podanych na opakowaniach przepisów, można je np. zemleć na pył w młynku do kawy i posypywać nimi różne potrawy, a nawet napoje. Można je też spożywać rano na śniadanie, zalane mlekiem z dodatkiem miodu lub dżemu.

RAFINERIA

Gdy przed stu laty Mac Gervey otworzył w Gorlicach zakłady rafineryjne, nikt jeszcze nie przypuszczał, że mogą one być źródłem zagrożenia dla środowiska naturalnego. Zresztą przy ówczesnej skali produkcji zagrożenie było niewielkie. W miarę jednak rozwoju zakładu narastała ilość odpadów porafinaryjnych a w miarę rozszerzania profilu produkcji — odpady stawały się coraz bardziej różnorodne i coraz bardziej były problem z ich składowaniem bądź neutralizowaniem.

Na początku nie istniały w Rafinerii żadne urządzenia ochronne. Tak zwane lapiszcza dołów zbiorczych, co wydawało się już dlaprodukcji wystarczające a wszystkie odpady wyrzucano do „dołów ronnych" usytuowanych tuż nad rzeką Ropą. Gdy po pewnym czasie odkryto, że owe possiadzkości można wykorzystać jako możliwość doły i na marzyć połowie pieniądz. Kto wybrano oczyszczenie wszystkiego a wlanie do powtórnej rafinerii mów wrzucanie do owych zbiorników. Kiedy powstał nowy wydział rafinacji kwasowo-ługowej, również stąd odpady, tym razem kwaśne, zrzucano do dołów. Póki jeszcze zawartość zbiorników była dość olyma co pewien czas neutralizowano ją wapnem i spuszczano do rzeki. Podobno również i wtedy gdy nie dawała się zneutralizować, korzystano z wysokich stanów wody w Ropie i wpuszczano do niej odpady z dołów. Do czasu rzeka miała jeszcze dużą odporność biologiczną i umiała sobie „poradzić" z zanieczyszczeniami. Ryb w niej nie brakowało ludzie zażywali kąpieli, bez narażenia zdrowia.

W latach międzywojennych gdy zawartość dołów nabrała bardziej stałej konsystencji tworząc rodzaj mazutu, pewien gorlicki Żyd wpadł na pomysł wykorzystania tej masy jako opału. Wzywanie orzy ogłoszeniu śmierdziało okropnie, ale wiele rodzin korzystało z mazutu bowiem był tańszy od węgla. I tak doły znów częściowo się opróżniły.

W miarę rozwijania się przemysłu rafinacyjnego do dołów zaczęto spuszczać odpady leszcze innego rodzaju: wodę kreozotową. Ale nie tylko rafineria wykorzystywała owe zbiorniki — robiły to także inne, powstające w Gorlicach zakłady. Stopniowo doły stawały się zagrożeniem dla otoczenia — i na szczęście, ludzie zaczęli to sobie uświadamiać. Podjęto pierwsze dewizje o oczyszczeniu owych zbiorników oraz o zaprzestaniu wywożenia do nich odpadów; decyzje te nie były jednak należycie respektowane. Próbowano również stworzyć od strony rzeki tak zwany ekran ilowy, lecz nie zdawał egzaminu.

Pierwsze poważne „ostrzeżenie" przyszło na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Napełniano wlaśnie kwasami porafinacyjnymi doły mazutowe i zapomniano zamknąć rurociągi — ich zawartość popłynęła w dół zakładu, a następnie rowami do rzeki. Po tym gorzkim doświadczeniu zaprzestano spuszczania kwasów do dołów.

W połowie lat sześćdziesiątych zbudowano w Rafinerii gorlickiej oczyszczalnię odpadów o dwóch ciągach: mechanicznym opartym o filtr piaskowy który dziś już wyłączono z eksploatacji bo stał się zupełnie niesprawny oraz chemicznym — dla neutralizacji wody z wydziału rafinacji kwasowo-ługowej. Zaplanowano również poletka osuszające, lecz rychło okazało się, że ciężkie osady z rafinerii „zakitowały" warstwy przepuszczalne i poletka stały się nieprzydatne.

Problem ochrony środowiska nabierał coraz większej wagi i coraz intensywniej szukano sposobów zapobieżenia zatruwaniu przyrody. Sporządzono zatem program prac, które pozwoli Rafinerii stanąć i nie „trucicielem".

Instytut Chemii Przemysłowej w Warszawie przygotował projekt systemu pozostałości porafinacyjnych, pracuje się również nad wydajną w pełni sprawną oczyszczalnią ścieków. Zadanie jest niełatwe bowiem Rafineria „produkuje" trzy bardzo różnorodne rodzaje odpadów: ług, kwas i wodę kreozotową — a każdy wymaga innych zabiegów utylizacyjnych bądź neutralizacyjnych. Ług i kwas dają się zobojętnić natomiast nie stworzono jeszcze technologicznych możliwości przerobu wód kreozotowych. Dlatego w Rafinerii niecierpliwie oczekuje się wybudowania spalacza w nim bowiem będzie można unieszkodliwić również te wody, dziś spuszczane do dołów kwasowych; nawet w przypadku awarii, gdyby wody przedostały się do ścieków — można je będzie przepompować do pieca.

Spalarnia będzie urządzeniem nowatorskim i... bardzo drogim, na które Rafinerii po prostu nie stać. Dość długo szukano pomocy — w funduszu ochrony środowiska czy w dawnym Zjednoczeniu. Dopiero w 1983 roku uzyskano wsparcie finansowe z budżetów wojewódzkiego i centralnego a krakowski Budostal-3 podjął się budowy. W 1985 roku piec powinien „ruszyć". Oprócz odpadów porafinaryjnych z dołów kwasowych, będzie spalał również bardzo uciążliwe dla środowiska gazy poekstydacyjne oraz osady z oczyszczalni ścieków. Jedynym odpadem będzie wówczas gips. Dyrekcja Rafinerii szuka kontrahentów, którzy zechcieliby wykorzystać ten gips bądź do produkcji elementów budowlanych bądź do innych celów.

Już w roku bieżącym ma być ściągnięta z dołów warstwa olejowa; zastosuje się ją jako dodatek do oleju opałowego. Trwa przebudowa kotłowni zakładowej, dzięki czemu między innymi zwiększy się sprawność odpylaczy — tak zwanych cyklonów. Na ukończeniu są prace nad dokumentacją modernizacji oczyszczalni ścieków — ma być to ciąg urządzeń nowocześniejszych niż obecne, bardziej różnorodnych i wydajniej pracujących co pozwoli na przejmowanie większej ilości ścieków a tym samym da zabezpieczenie na wypadek awarii. Opracowuje się też dokumentację zmiany sieci kanalizacyjnej na rozdzielczą (dziś dotychczas ścieki socjalno-bytowe oczyszczalnie opadowe i gruntowe płynną jednym kanałem, co powoduje że wszystkie wymagają neutralizacji. Prace przy rozdziale kanalizacji to prawdziwa „rewolucja" dla zakładów. Trzeba znaleźć takie rozwiązanie które pozwoli na wykonanie tego zadania bez szkody dla produkcji Rafinerii i bez dodatkowego zagrożenia choćby [illegible] dla środowiska.

Plany są szerokie zakrojone na dużą skalę i obejmujące całokształt działań niezbędnych dla przekształcenia Rafinerii w zakład bezpieczny dla otoczenia. Dobrze więc, że przystąpiło się do nich kompleksowo. Dobrze też że nakreślono realną i niezbyt odległą [illegible] aktywne zakończenia prac.

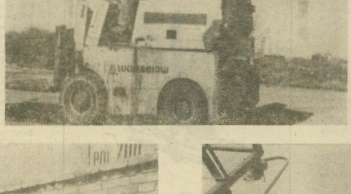

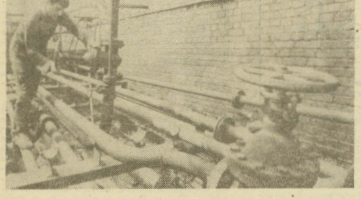

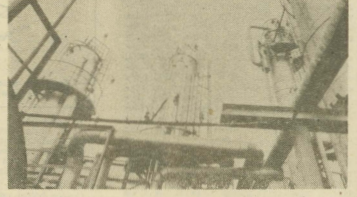

ELŻBIETA GLINKA

Fot. MICHAŁ SROKA

ANDRZEJ SZYMAŃSKI

ŚWIĘTO FOLKLORU POD GIEWONTEM

Geneza corocznych „Jesieni Tatrzańskich" należałoby dociekać się w międzywojniu. Otóż w czasach bytności w Zakopanem Korola Szymanowskiego zrodził się pomysł Pogotowia Ratunkowego Kultury Góralskiej, a nieco później — barwna impreza nazwana Świętem Gór. Podobne koncepcje zaczęły odżywać również po wojnie.

Początki

W 1962 roku doszło do zorganizowania i Jesieni Tatrzańskiej, imprezy mającej na celu podtrzymanie ciągle jeszcze żywych na Podhalu tradycji sztuki ludowej, a także... przedłużenie sezonu turystyczno-wypoczynkowego. Na program „Jesieni" składały się pokazy obrzędów góralskich, występy zespołów regionalnych, spotkania pisarzy ludowych z czytelnikami, pokazy rzemiosła wysokogórskiego, przeglądy filmów krótkometrażowych o Zakopanem. Występowali też gościnnie artyści Filharmonii Krakowskiej, wojskowe zespoły estradowe itp. „Jesień" była więc swoistym maratonem imprez kulturalnych, rozrywkowych, sportowych; tak arestu pozostało do dziś.

Kiedy „Jesień Tatrzańska" trwale już zadomowiła się w zakopiańskim kalendarzu, działacze i zapaleńcy zaczęli przemyślować nad zorganizowaniem odrębnej imprezy, w trakcie której odbywałyby się występy zespołów góralskich. I tak właśnie w roku 1965 narodził się I Festiwal Zespołów Regionalnych Ziem Górskich. Był on wprawdzie tylko imprezą krajową, ale już wówczas pojawiły się symptomy wskazujące, że niebawem może się przekształcić w międzynarodową, bowiem jednym z uczestników była grupa „Zemplin" z sąsiedniej Słowacji. Pierwszą nagrodę zdobyli na tym festiwalu nowosądeczanie — zespół „Łachy". Koncerty odbywały się w sali teatralnej „Morskie Oko" Biletów, oczywiście, zabrakło dla wszystkich chętnych, co spowodowało w następnych latach ciągłe „przeprowadzki", aby pomieścić liczniejszą z roku na rok widownię: do kina „Giewont", do sali COS-u, później do namiotu pod skocznią, aż wreszcie do dużego — będącego obecnie własnością województwa — namiotu, usytuowanego na dolnej Równi Krupowej.

Zaczęła wzrastać ranga festiwalu: w roku 1966 protektorat nad nim objęło ówczesny minister kultury i sztuki, Lucjan Motyka. Z ramienia Wydziału Kultury Wojewódzkiej Rady Narodowej w Krakowie opiekuje się festiwalem Stefan Ciepły, a z Referatu Kultury na szczeblu Zakopanego — Krystyna Słobodziańska,długoletnia kierowniczka Biura Organizacyjnego, którą to funkcję w 1975 r. przejęła i pełni do dzisiaj Danuta Rejdych.

Festiwal — imprezą międzynarodową

Dążenie do utrakcyjniania festiwalu narzuciło organizatorom pomysł zapraszania zespołów zagranicznych. Bezpośrednio po zakończeniu III Festiwalu Folkoru Ziem Górskich w 1967 r. Prezydium MRN w Zakopanem oraz Komitet Wojewódzki PZPR w Krakowie zwróciły się do Ministerstwa Kultury i Sztuki z propozycją przeprowadzenia imprezy w festiwal międzynarodowy 2 marca 1968 r. Ministerstwo zaakceptowało pomysł i we wrześniu tegoż roku dokonało się I Międzynarodowy Festiwal Folkloru Ziem Górskich. Uczestniczyły w nim 24 zespoły, w tym 8 zagranicznych — Bułgaria, Włochy, Rumunia, Włoch oraz dwa ze Związku Radzieckiego „Złote ciupagi" zdobyły zespoły — „Hora" z Rumunii i grupa nowosądecka „Podegrodzie".

Nie starczyłoby zapewne miejsca na wyliczenie wszystkich nagrodzonych dotychczas zespołów: tylko z zagranicy brało udział 175 grup, a system nagród ustał i będzie czasu tak rozbudowany, że praktycznie żaden z zespołów nie wyjeżdżał bez jakiegoś chociażby wyróżnienia. A zespoły poskiętej przecież zdobywały laury. Na temat systemu nagradzania wypowiadać się wiele stron. Początkowo zespoły oceniano tylko w dwóch kategoriach, później już w trzech, a obecnie w czterech. W pierwszym okresie przyznawano „Złote ciupagi", następnie — nie tylko „Srebrne", ale również cały szereg innych nagród: Puchary Jesieni Tatrzańskiej, Tarczę „Złote Liście", dyplomy, wyróżnienia „nagrody publiczności i dziennikarzy...

Czy konieczne konkurs?

Rozbudowany system nagród powodował częste wystąpienia przeciw konkursowemu charakterowi festiwalu. Adam Ciesielski w publikacji zatytułowanej „Święto folkloru w Zakopanem" („Życie Warszawy" nr 221/73) pisze z czytelnikami „Życia Warszawy (24/25.09.77 r.) Paweł Chynowski: *„konkursowy charakter zakopiańskiego festiwalu nasuwa pewne wątpliwości... Czyż jest bowiem możliwe porównywanie opracowań scenicznych tradycji ludowych Słowiańszczyzny z bardzo młodym jeszcze, a szybko spopularyzowanym już w świecie folkloren USA, a obu ich, na przykład, z kulturą ludów Azji czy Czarnej Afryki?*

Festiwal, będący w założeniu konkursem z coraz większą ilością nagród, niejednokrotnie budził mieszane uczucia obserwatorów. Niektórzy obawiali się, że zdyskredytuje się ranga „Złotej ciupagi". Mimo wszystko po latach Krystyna Słobodziańska stwierdza: wytworzyła się powszechna opinia, że „Złota ciupaga" jest bardzo znaczącą nagrodą! Wątpliwości wprawdzie pozostały do dziś, ale może to i dobrze: skoro trwają dyskusje i spory, to jest lepszy dowód, że festiwal cieszy się zainteresowaniem.

Fot. STANISŁAW MOMOT

Sprawozdawcy i komentatorzy wyrażali także obawy, czy w konfrontacji z innymi zespołami nasi górale nie będą z czasem wypadać zbyt blado, wszak niektóre zespoły — szczególnie z azjatyckich republik radzieckich — urzekały nie tylko egzotyką i bogactwem programu, ale również wspaniałą reżyserią, brawurą techniką i doskonałym opracowaniem. Na łamach „Tygodnika Demokratycznego" (nr 38/74) poruszyła ten problem Zofia Raducka: *Etnografowie twierdzą, że naszym z Podhala grozi uwiąd w schematach: tańcu, śpiewku, przyprzyśka na jedną nutę, i tak w koło, tylko w finale dynamiczny zbójnicki.* Wprawdzie polscy górale zdobywali w dalszym ciągu nagrody, ale niektórzy spośród widzów miewają poważne wątpliwości, czy aby werdykty lury nie są czasami konserwatywni gestami pod adresem gospodarzy...

Są powody do dumy

W roku 1970 mają miejsce narodziny „dziecka" zakopiańskiego festiwalu: po raz pierwszy odbywają się w Żywcu tzw. polskie dni festiwalowe, które w przyszłości staną się nie tylko eliminacjami przed zakopiańskim festiwalem, ale i samodzielną, bardzo znaczącą imprezą. Wskazywał na to już pierwszy przegląd polskich zespołów, w którym wzięło udział 200 grup. W roku 1974 żywiecki festiwal stał się już samodzielną, ogólnopolską imprezą. Ten fakt bezsporne należy zapisać na konto sukcesów organizatorów MFFZG.

Nie jedyne to zresztą osiągnięcie organizatorów. Nie wolno zapominać, że zakopiański festiwal stał się niejako „natchnieniem" dla animatorów wielu podobnych imprez, np. festiwalu w Bayonne (Francja). A już na pewno nienaprzezwalnym sukcesem było coraz większe zainteresowanie folklorem w wielu krajach europejskich.

Niestety, są kraje, w których folklor całkowicie zaginął. I właśnie z myślą o nich wprowadzono na VIII Festiwalu (1975 r.) dodatkową kategorię: zespołów prezentujących tzw. folklor rekonstruowany.

Wprowadzenie tej kategorii to smutny, niestety, dowód, że sztuka ludowa skazana jest na zaginięcie wraz z postępem cywilizacyjnym. Zresztą po kilku latach prof. dr Roman Reinfuss powie wprost, że organizowanie festiwali przyporuna ratowanie nieuleczalnie chorego pacjenta za pomocą kropelówki. Ale jak długo można żyć na kroplówce...?

Na temat zakopiańskich festiwali wypowiadało się wiele osób. Były to najczęściej głosy pochlebne, choć trafiały się też krytyczne. Oczarowanych imprezą ti Zakopanem) bywało wielu. Przedstawiciel Radia Berlin (NRD) Klaus Modrow powiedział m. in.: *„jestem szczęśliwy, że mogę być w Zakopanem, przeżywać wszystko, co organizatorzy imprezy przynają nam widzom. W podobnym tonie utrzymana była wypowiedź Świetlany Kondratiewej, członka jury z Moskwy: Myślę, że zakopiańska impreza — dodam: doskonale zorganizowana impreza — służy odkrywaniu wciąż nowych wartości folkloru i w tym widzę jego przyszłość.* Z jej wypowiedzią koresponduje głos Csoby Uretzkyego z Węgier, również członka jury: *W ostatnich latach uczestniczyłem bodź obserwowałem wiele festiwali międzynarodowych. Powiem krótko: zakopiański Festiwal stał na najwyższym europejskim poziomie.*

Głosy te nie były podyktowane tylko kurtuazją pod adresem gospodarzy. Podczas VI Festiwalu (1973 r.) odbył się w Zakopanem Kongres CIOFF — Międzynarodowego Komitetu Organizatorów Festiwali Folklorystycznych, z udziałem przedstawicieli 19 państw. Uczestnicy, w końcu wybitni znawcy zagadnień folklorystycznych i kulturoznawczych, bardzo wysoko ocenili zakopiański festiwal, zaliczając go do kategorii „A", najwyższej w klasyfikacji imprez międzynarodowych tego rodzaju.

Zdarzały się niekiedy na łamach prasy głosy krytyczne, nie tyle zresztą pod adresem organizatorów, co w odniesieniu do poziomu imprezy. W 1971 roku w „Słowie Powszechnym" (nr 225) pisał Tadeusz Stalch: *...powszechne odczuwane obniżenie jego rangi jest dziełem m. in. nakładu telewizji, radia i prasy; instytucje te z wielką gorliwością oddają swe usługi opolskiej i sopockiej piosence, idąc krok w krok za modą. Dowodzi to braku ambicji w kierunku kształtowania gustów publicznością, a niedmiarku schlebiania tym gustom. Inaczej dzieje się na festiwalu folkloru, gdzie tradycyjne formy cieszą się coraz większym powodzeniem.*

(DOKOŃCZENIE NA STR. 20)

Święto folkloru pod Giewontem

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 19)

niem, świetnie eksponowane — a wprzedzie propagowane — na ekranach, antenie i w czasopismach. Ciekawa publicystka trochę chyba jednak przesadził, jako że od zarania zakopiańskiej festiwal był dziełkiem holubionym przez prasę (mnóstwo krótkich muzej przez radio i telewizję), a zainteresowanie folkiorem było w tym czasie na pewno o wiele większe w Polsce niż gdzie indziej. Dopiero w kilka lat później zgodnie z prawdą Krystyna Słobodzińska napisze w „Roczniku Podhalańskim" (t. 2, Zakopane 1979): „Festiwale rozwinęły w różnych stronach Europy ruch folklorystyczny (...) jest bez wątpienia i że poważnym stopniu zasługą zakopiańskiego festiwalu...

A jednak w Zakopanem!

Czarne chmury zawisły nad Festiwalem w 1981 roku. Odezwały się głosy, iż Zakopanego nie stać na organizowanie tak wielkiej imprezy, że jest ona za droga w kryzysowej sytuacji itp. Najciekawsze, że bardzo często takie opinie padały z ust ludzi, od których można by wymagać nieco większego rozsądku, a przynajmniej rzetelniejszego rozeznania w sytuacji. Zakopiański Festiwal od samego początku był jedną z najtańszych imprez tego typu w Polsce. Mało tego: nigdy nie obciążał budżetu miejskiego! A to był z reguły „najmocniejszy" argument! Imprezę zawsze dotowało Ministerstwo Kultury i Sztuki. Zapomniano podczas tej histerycznej wrzawy o wielu zjazdach polskich zespołów za granicą, o konjaktach międzynarodowych artystów plastyków itp. Te aspekty trafnie dociekał Tadeusz Pawłowski. Chałupnik, przedstawiciel Ministerstwa Kultury Związku Radzieckiego: *Festiwal zakopiański to nie tylko okazja do uściskich przyjaźni międzynarodowych, to także okazja do wymian rodzaju forum, pozwalające zawiązywać cenne kontakty kulturalne, umacniać cenne przyjaźnie* („Gazeta Krakowska" nr 214/72).

Jak bardzo Festiwal wrósł w zakopiańską pejzaż kulturalny, dowiódł rok 1982, kiedy impreza nie doszła do skutku. Fakt ten zaowocował zresztą pewnym niedowładem organizacyjnym w następnym roku, chociaż i tak najważniejsze dla wszystkich było to, że potrzaciących się o łuski podróżnych ruszamy zwolna przy odgłosie astmatycznych oddechów lokomotyw (jedna z nich popyrkała pociągi od Lotu — przyp. aut.) rzucających w górę białe wyrzucane kłęby pary.

Pociąg wlókł się wolno po krętej linii kolejowej i do Chabówki docierał droga okrężną przez Sucha. W Chabówce już oczekiwali liczni furmani z Podhala ze swoimi fasiągami. Do nich furmani wcielali cały bagaż i ludzi, po czym woszy jeden po drugim wyruszały zwolna długim szeregiem krętą stromą drogą na wyniosłą Obidowę. Spora część podróżnych udających się do „karpackich stacji klimatycznych", jak zwano wówczas niewielkie jeszcze Zakopane i mniejsza Szczawnicę, zatrzymała się na chwilę w Rabce, aby odgłądnąć *jak Chińczycy Europejczyka*, jak to stwierdził Witkiewicz.

W Nowym Targu następował popas — konie musiały wytchnąć, a podróżni posilić się w karczmie. Dopiero po tym popasie wyruszano w dalszą drogę i furmani zwykle szczelnie opinali na fasiągach budy z płótna, aby ochronić gości przed deszczem i ostrym klimatem górskim.

W całej drodze, w bliskości wsi, wybiegały małe chłopaczki z koszami na bułkach i pędzą koło wozów, milcząco, z wyciągniętą po pieniądze ręką, z upornością i wytrwałością, której ani obojętność podróżnych, ani krzyki furmana nie są w stanie przełamać. Biegną tak całe wiorsty, zmęczone i zaczerwienione, dopóki czegoś nie dostaną — pisał Witkiewicz.

EUGENIUSZ HALICKI

JAK DAWNIEJ PODRÓŻOWANO

Z wydanego w 1898 r. „Krótkiego przewodnika do Zakopanego i po Tatrach" w opracowaniu A. W. Sutora, wynika, że rodacy z trzech zaborów udający się na wypoczynek do Zakopanego korzystać mogli z kolei zelazne jedynie do Krakowa. Z Królestwa Polskiego przyjeżdżali pod Wawel koleją warszawsko-wiedeńską przez Szczakowa, a dalsza podróż odbywała się już końmi, jadąc bita przez Bolechowice, Olkusz i Lubień do Skomielnej. Tu szlak krakowski krzyżował się z drogą biegnącą z zaboru pruskiego przez Biała, Suchą i Jordanów, prowadzącą też na wschód — do Rabki i Nowego Sącza. W kierunku Zakopanego droga biegła przez Dobrzonię i Obidowa ku Nowemu Targowi. Tu łączyła się krakowski krzyżował się z drogami: do Szczawnicy przez Czorsztyn, a na Orawę, należącą wówczas do Węgier przez Czarny Dunajec. Od Nowego Targu do Zakopanego droga wiodła tą samą trasą co dzisiaj.

Jedynie z zaboru pruskiego, od Poznania, można było dotrzeć w pobliże Zakopanego bądź koleją wiedeńską przez Wrocław i Oświęcim, a w Krakowa opisanym wyżej szlakiem, bądź też przez Wrocław, Opole, Koźle, Racibórz, Bogumin, Mikulasz (już na terytorium Węgierskie Poprad), a stąd końmi do Szmeksu (dzisiejszy Smokowiec), a następnie pieszo przez szczyty tatrzańskie do Zakopanego, albo z Poprada końmi przez Kežmarok, Zdiar, Podspady, Jurgów i — już na terytorium Galicji — Bukowinę Tatrzańską, Poronin. Ze Lwowa wiodła kolej żelazna do Krakowa, bądź do Tarnowa, skąd koleją „tarnowsko-leluchowską" można było pojechać do Starego Sącza, a następnie końmi przez Łącko, Krościenko, Czorsztyn, Maniowy do Nowego Targu, a dalej przez Poronin do Zakopanego.

Bezpośrednio do Zakopanego można było jedynie dojechać na zaprzęgu pojazdów konnych. Były to głównie tzw. „fasiągi" — (wozy o bokach wypłatanych z listewek drewnianych nakrywanych na żółto) kryte rozpiętym na żelaznych prętach białym płótnem dla ochrony podróżnych przed słońcem lub słotą. Te malownicze pojazdy, zresztą dość komfortowe, bo o miękkich sprężynowych siedzeniach, krążyły często pomiędzy Krakowem a Zakopanem na niebagatelnej odległości 116 km. Zimą Podhale było praktycznie odcięte od świata, gdyż sanie nadawały się jedynie dla ruchu lokalnego, ze względu na śnieżne zaspy na gościńcach.

Wyprawa z Krakowa do Zakopanego była niemałym przedsięwzięciem. Kto miał niewielki bagaż, mógł skorzystać z przewozu pocztowego do Nowego Targu, jadącego zawsze nocą, za 5 złotych od osoby. Od Nowego Targu trzeba już było przesiąść się w lokalny wózek pocztowy, za 1,20 zł od osoby.

Ale głównym punktem zbornym wyjeżdżających z Krakowa podróżnych była dzielnica Kleparz, gdzie o każdym czasie oczekiwały wózki góralskie po 12—14 zł za kryty parokonny i po 8—9 zł za jednokonny. Wyruszano zwykle rankiem, o godz. 6—7, obiadowano w myślenickim oberży „Pod Lwem", a nocowano w Zaborni. Następnego dnia, po siedmiogodzinnej jeździe, docierano do Zakopanego. Jeśli natomiast ktoś z Krakowa wybierał się południe, to nocował w Lubniu, skąd jechał do Zakopanego cały następny dzień.

Ze Starego Sącza do Zakopanego jeździły dwie linie w ciągu dnia powozy pocztowe — najpierw do Szczawnicy lub Krościenka, a dalej przez Czorsztyn do Nowego Targu.

Na przełomie XIX w. podróż z Krakowa do Zakopanego stała się o wiele łatwiejsza, gdyż kolej żelazną doprowadzono do Chabówki. Dopiero stąd podróżni musieli korzystać z pojazdów konnych.

„Podkarpacka kolej żelazna" wyruszała z miejmej stacji na Podgórzu w Krakowie. Nie bacząc na obszały byt pociąg — przedziwna „ciuchcia", Moment jej wyruszenia ze stacji opisał następujące Stanisław Witkiewicz „Na Podgórzu w Cudnowie lecie bo skutecznie szarpnięcie — *jeszcze raz... i ani z miejsca. Hop! Siup! Jeszcze mocniej i wśród szyderstw i śmiechu*

NOWOTARSKIE ZAKŁADY PRZEMYSŁU SKÓRZANEGO „PODHALE"
w Nowym Targu, ul. Ludźmierska 29

zatrudnią natychmiast

MĘCZYZN na stanowiska:

- SPECJALISTA D/S OCHRONY ŚRODOWISKA — wykształcenie średnie kierunkowe lub chemiczne
- SPECJALISTĄ D/S ORGANIZACJI ZARZĄDZANIA — wykształcenie wyższe specjalistyczne lub pokrewne
- INSPEKTOR NADZORU D/S BUDOWNICTWA — wykształcenie wyższe lub średnie z uprawnieniami budowlanymi
- RZEŹBIARZ W DREWNIE — wykształcenie średnie kierunkowe

oraz KOBIETY I MĘŻCZYZN na stanowiska robotnicze w zawodach:

obuwnik szwacz ◆ obuwnik montażysta ◆ stolarz ◆ blacharz-ślusarz ◆ posadzkarz ◆ murarz ◆ szklarz ◆ zbrojarz ◆ frezer ◆ ślusarz ◆ hydraulik ◆ spawacz ◆ sprzątający pomieszczenia produkcyjnych i biurowych. Praca na jedną lub dwie zmiany.

ZAPEWNIAMY: dobre zarobki w/g UZP dla Przemysłu Lekkiego, dojazd do pracy i powrót do domu — autobusami, dla osób samotnych miejsca w hotelu lub kwaterach prywatnych (w miarę wolnych miejsc), dobrą specjalistyczną opiekę lekarską oraz gabinety rehabilitacyjne, wczasy nad Bałtykiem i jeziorami, w NRD i Czechosłowacji, kolonie nad morzem dla dzieci pracowników, wypoczynek w ośrodku wczasów niedzielnych nad rzeką Białką, kryty basen kąpielowy i inne.

Zgłoszenia przyjmuje i informacji udziela Dział Kadr, tel. 28-41 do 39, wewn. 766.

OBWIESZCZENIA

Wyrokiem Sądu Rejonowego w Limanowej w II Wydziale Karnym z dnia 28 marca 1984 r. sygn. akt. II K 432/83, Józef Ligasa, urodz. 6 V 1950 r. w Zamieściu, syn Szymona i Zofii z d. Dziadoń, zamieszkały Zamieście 104, oskarżony o to, że dnia 28 sierpnia 1983 r. w Tymbarku rejonu limanowskiego nie zachował należytych ostrożności kierując w stanie nietrzeźwości samochodem osobowym Fiat 126 p, nr rej. NSE 2992, w szczególności rozwijając nadmierną szybkość i tracąc panowanie nad pojazdem, wjechał na chodnik gdzie potrącił Annę Kordeczka, powodując u niej wielokrotne złamania kończyn i centralnym złamaniem pewnéki i wgłębieniem głowy kości udowej, złamanie kości kokowej po stronie prawej, świadnięcie podobojczykowe prawego ramienia oraz wstrząśnięcie mózgu, tj. o przest. z art. 145 § 1 i 3 KK

I. został uznany winnym popełnienia zarzuconego mu aktem oskarżenia czynu, stanowiącego przestępstwo z art. 145 § 1 i 3 KK i na zasadzie art. 145 § 3 KK wymierzono mu karę 2 lat pozbawienia wolności

II. na zasadzie art. 43 § 2 kk orzeczono w stosunku do oskarżonego zakaz prowadzenia pojazdów mechanicznych na 10 lat

III. na zasadzie art. 49 kk zarządzono podanie wyroku do publicznej wiadomości drogą ogłoszenia w tygodniku „Dunajec" na koszt oskarżonego

IV. na zasadzie art. 83 § 1 kk zaliczono oskarżonemu na poczet orzeczonej kary okres tymczasowego aresztowania od dnia 28 sierpnia 1983 r. do dnia 28 marca 1984 r.

V. na zasadzie art. 547 § 1 kpk zasądzono od oskarżonego na rzecz Skarbu Państwa tytułem kosztów postępowania kwotę 4.770 zł zaś na zasadzie art. 2 ustawy o opłatach w sprawach karnych zasądzono na rzecz Skarbu Państwa tytułem opłaty kwotę 6.000 zł.

Na podstawie wyroku Sądu Wojewódzkiego w Nowym Sączu, jako II instancji w II Wydziale Karnym z dnia 18 maja 1984 r. syng. akt. II Kr 192/84 z powodu rewizji wniesionej przez obrońcę oskarżonego od wyroku Sądu Rejonowego w Limanowej z dnia 28 marca 1984 r. — zaskarżony wyrok utrzymano w mocy, zwalniając oskarżonego od ponoszenia kosztów sądowych na postępowanie odwoławcze.

K-5210

DUNAJEC — tygodnik Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Redaguje zespół: Danuta Bluek, Beata Dembowska, Elżbieta Glinka (z-ca redaktora naczelnego), Lucyna Kastuba, Jerzy Leśniak, Adam Ogorzałek (redaktor naczelny), Franciszek Palka (redaktor graficzny), Krzysztof Podbeld (redaktor techniczny). Adres redakcji: 33-300 Nowy Sącz, Al Wolności 49 Telefony: 238-38, 238-98 Telex: 0322148 Oddział w Krakowie: ul. Wielopole 1, pok. 38 telefon: 22-28-88, 22-75-88, wewn 161, telex: 0322491 Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch" ul. Wiślna 2. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" Kraków, al. Pokoju 5.

Ogłoszenia przyjmuje Biura Reklam i Ogłoszeń ul Wiślna 2, 31-001 Kraków telefon: 22-70-89 oraz wszystkie Biura Ogłoszeń RSW „Prasa Książka Ruch" na terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Prenumeratę ze dostawą wysyła na granice przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 23, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-138-11 Nr indeksu 35637.

Prenumeratory indywidualne w miastach dokonują wpłat na poszczególne kwartały bieżącego roku: do 28 lutego na II kwartał, do 31 maja na III kwartał, do 31 sierpnia na IV kwartał.

KRZYŻÓWKA NR 28

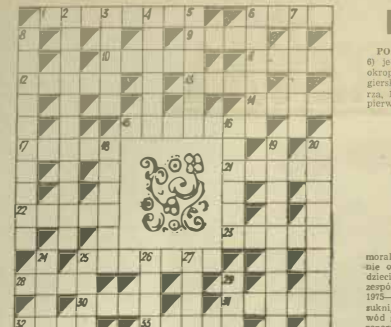

POZIOMO: 1) szpital na kółkach, 6) jedna z uczestniczek redyku, 9) okropne zimno, 10) krajan, 11) węgierski Rzym, 12 narzędzie rozbitnika, 13) odlóg, 14) wróżba, znak, 15) pierwszy człowiek w kosmosie, 17) moralność, 21) filuterne przymrużenie oka, 22) napój lubiany przez dzieci, 23) ptak leśno-parkowy, 25) zespół wokalny popularny w latach 1973—80, 28) kwadratowe wycięcie sukni, 30) wełna na owcy, 31) dowód niewinności, 32) Konstanty, 33) reperuje buty, 34) fragment osiedla, 35) do wbijania pali, 36) przeciwieństwo, przeciwdziałanie.

PIONOWO: 2) napisał „Przygody Koziołka Matołka", 3) gotująca się woda, 4) obchodzi imieniny 11 października, 5) statek rzeczny z XV—XVIII w., 6) król elfów, 7) skorupa stłuczonego naczynia, 8) kompozytor opery „Manru", 16) wynik dzielenia, 18) sarmacka sypialnia, 19) taki co wygrał w totka, 20) szczelina powstała w skale, 24) sąsiaduje z Mazurami, 25) po wyrąbanym lesie, 26) zmartwienie, 27) dudnienie, 29) niezbyt elegancko o nieznanym mężczyźnie.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 24 lipca.

Rozwiązanie krzyżówki nr 26

POZIOMO: 1) stolik, 9) obowiązek, 10) stragan, 11) rozbrat, 12) Spinoza, 13) dukt, 14) Kąty, 15) kram, 18) imak, 19) blat, 22) strażak, 26) ochmistrz, 27) przerwa, 28) melomania, 29) grzywna, 30) wizytacja, 31) Tantal.

PIONOWO: 2) tarnina, 3) legion, 4) Konrad, 5) boczek, 6) Wigry, 7) rejestracja, 8) osesek, 16) księga, 16) rozliczenie, 17) młot, 20) niemota, 21) stanica, 22) szpagat, 23) rozczyn, 24) żarówka, 25) krajan.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 26, drogą losowania nagrody otrzymują: **Kunegunda Nowak** z Nowego Sącza oraz **Tadeusz Jałko** z Czarnego Dunajca.

Gratulujemy!

na ekranie TV

SOBOTA 14 VII

PROGRAM I

8.25 „Tydzień na działce"
8.55 Program dnia
9.00 Kino teleferii
10.00 Tadeusz Różewicz „Grupa Leokonia"
11.30 „Podróże bez biletu"
12.15 Zwyczaje i obrzędy
12.45 Rolniczy Magazyn Techniczny
13.15 Przebeje Franka Schoeltsa
13.40 „Gwiazdy, czytelnicy, dziennikarze"
14.00 „Militaria, obronność, [illegible]"
14.30 Z filmoteki 40-lecia
15.15 Wiadomości
15.25 Program dnia
15.30 Telewizyjna Lista Przebojów
15.50 Magazyn PZU
16.00 „Droga" (2)
17.00 „Country w Stodole"
17.30 Trybuna sejmowa
18.00 „Piosenki z fonoteki"
18.10 Losowanie Dużego Lotka
18.20 „Pegaz"
19.00 Dobranoc
19.10 „Żyć w krajobrazie"
19.30 Dziennik
20.00 „Remis" — film fab. prod. TP
21.00 XVIII FPŻ Kołobrzeg 84
22.15 Żniwa 84
22.20 „Na żywo"
22.45 Wiadomości sportowe
23.15 „Smak zła" film prod. USA

PROGRAM II

10.00 „Remis" — film TP
17.05 „Wideoteka"
17.30 Wakacje w Ustroniu
17.35 „Piramidy pod Równicą"
17.55 Spotkania ze znanymi ludźmi
18.05 „Sąsiedzi zza góry"
18.15 Reportaż
18.30 Kronika
19.00 Architektura starej Łodzi
19.30 Dziennik
20.00 Jutro Lublin na zdjęcia
20.25 „Artyści — galerie"
21.15 „Tydzień w polityce"
21.25 „Okolice literatury"
23.00 Pamiętnik Marksa de Bredonnia
23.05 IX Konkurs Piosenki — Ustroń 84

NIEDZIELA 15 VII

PROGRAM I

9.00 Kino teleranka
10.10 „Estrada folkloru"
10.30 „Wielkie wyprawy w Himalaje"
11.20 „Gdzieś w Polsce"
12.00 „Siedem anten"
13.00 „Kraj za miastem"
13.25 Telewizyjny Koncert Życzeń
14.10 Chełm Lubelski
14.40 Pagart przedstawia
15.15 Wiadomości
15.25 „Agent nr 1" — film prod. pol.
17.05 „Dunikowski"
18.00 „Od melodii do melodii"
18.15 „Antena"
19.00 Wieczorynka
19.30 Dziennik
20.00 Rok 1944 (odc. 2) — film fab. TP
21.00 XVIII FPŻ Kołobrzeg 84
22.20 Studio Sport
22.40 XVIII F PŻ Kołobrzeg 84

PROGRAM II

7.50 „Czas reformy"
8.50 „Ale my żyjemy" (dla niesłyszących)
10.30 „Żołnierska powinność"
11.00 Powitanie z Lublina oraz Wiadomości
11.15 „Gdyby Lublin był stolicą Polski"
11.30 Gość niedzieli
11.35 „Gorąca linia"
11.55 „Assagalo" — teatr dla dzieci
12.45 Goście niedzieli
12.55 „Jarmark na podzamczu"
13.10 Gość niedzieli
13.20 „Od Bajmu do Buski Sufiere"
13.40 „Gorąca linia"
13.55 Goście niedzieli
14.00 „Ojciec Murphy"
14.50 „Mój lipiec 44"
15.30 „Gorąca linia"
15.45 Goście niedzieli
16.00 „Wielka Gra"
16.45 „Gorąca linia"
17.00 „Zemsta" A. Fredry
17.45 „Gorąca linia"
18.00 „Co krok to historia"
18.45 „Karnawał lubelski"
19.10 Gość niedzieli
19.30 Dziennik
20.00 Powitanie z dziedzińca zamkowego
20.10 „Koncert na zamku"
20.45 Teatr wizji i ruchu
21.30 Wokół „Akcentu"
21.45 Scena plastyczna KUL — „Powroty"
22.10 „17 mgnień wiosny" (10)
23.20 „Gardzienice"

PONIEDZIAŁEK 16 VII

PROGRAM I

17.15 Program dnia
17.20 Wiadomości
17.30 „Biesiady humoru i satyry"
18.05 Telewizyjny Informator Wydawniczy
18.20 „Między polem a stołem"
19.00 Dobranoc
19.10 „Echa stadionów"
19.30 Dziennik
20.00 Publicystyka
20.15 Leon Kruczkowski — „Pierwszy dzień wolności"
21.00 Komentarze
21.15 Żniwa 84
22.25 „Kontakty"
22.55 24 godziny

PROGRAM II

17.40 Program dnia
17.45 Studio Sport
18.30 Kronika
19.00 „Korespondencje dla dorosłych"
19.20 Przeboje „Dwójki"
19.30 Dziennik
20.00 „Kalendarz historyczny"
20.15 Spotkanie z Irakiem
21.15 Telefon „Dwójki"
21.30 „Argentyńskie trampy"
21.55 „Szlacheckie gniazdo" film fab. prod. ZSRR

WTOREK 17 VII

PROGRAM I

9.00 Teleferie
10.30 „Powiat na północy" — serial CSRS
17.15 Program dnia
17.20 Wiadomości
17.30 „Jak cudne są wspomnienia"
18.30 „Kram"
19.00 Dobranoc
19.10 „Diagnoza"
19.30 Dziennik
20.00 Publicystyka
20.15 „Powiat na północy" — serial CSRS
21.10 Program publicystyczny
21.50 Piosenki z fonoteki
22.00 Komentarze
22.15 Żniwa 84
22.25 „Ate — apocalipsa"
22.50 Studio Sport
23.20 24 godziny

PROGRAM II

16.35 Program dnia
16.40 Studio Sport
17.25 Język ang. (9)
17.55 Język ros. (9)
18.30 Kronika
19.00 Przeboje „Dwójki"
19.25 Wystąpienie Ali Al-Bandera
19.30 Dziennik
20.00 „Letni sezon vivre" (3)
20.15 Dni muzyki kameralnej
21.15 Telefon „Dwójki"
21.30 Goście letniego studia
21.45 „Szklana kula" — film pol.

ŚRODA 18 VII

PROGRAM I

9.00 „Kraj"
10.30 „Sólo Sunny" — prod. NRD
17.05 Program dnia
17.10 Losowanie Express Lotka i Małego Lotka
17.20 Wiadomości
17.30 „Małżeństwo rozsądku" — film pol.
19.00 Dobranoc
19.10 Program publicystyczny
19.30 Dziennik
20.00 Publicystyka
20.15 „Sólo Sunny" — dramat prod. NRD
22.05 Komentarze
22.20 Żniwa 84
22.30 „Portrety" — Ryszarda Hanin
23.05 Studio Sport
23.35 24 godziny

PROGRAM II

16.25 Program dnia
16.30 Studio Sport
17.25 Język ang. (10)
17.55 Język ros. (10)
18.30 Kronika
19.00 Śpiewnik domowy
19.20 Przeboje „Dwójki"
19.30 Dziennik
20.00 „Przyczółek telewizji"
20.10 „Tam, gdzie pieprz rośnie"
21.00 „Vademecum Jerzego Wittlina"
21.15 Telefon „Dwójki"
21.30 Goście letniego studia
21.45 „Stanisz"
22.15 „07 zgłoś się"

CZWARTEK 19 VII

PROGRAM I

9.00 Kino teleferii
10.30 „Komisarz Moulin"
17.15 Program dnia
17.20 Wiadomości
17.30 „Interstudio"
17.55 „Prosty rachunek"
18.05 „W pamięci narodu"
18.30 „Sonda"
19.00 Dobranoc
19.10 „Widzieć inaczej"
19.30 Dziennik
20.00 „Fakty, wydarzenia, aluzje"
20.15 „Komisarz Moulin" — film
21.40 Studio Sport
22.15 Komentarze
22.30 Żniwa 84
22.40 „Świat z bliska"
23.30 24 godziny

PROGRAM II

16.35 Program dnia
16.40 Studio Sport
17.25 Język ang. (11)
17.55 Język ros. (11)
18.30 Kronika
19.00 „To niemożliwe?"
19.20 Przeboje „Dwójki"
19.30 Dziennik
20.00 „Gorąca linia"
20.15 Filharmonia „Dwójki"
21.20 Telefon „Dwójki"
21.35 Gość letniego studia „Dwójki"
21.50 Program publicystyczny
22.30 Kino poligłotów — „Komisarz Moulin"

POLSKI OLBRZYM

Niestety przyszło mi naklonić **ADAMA SANDURSKIEGO** do zwierzeń. — Nie lubię udzielać wywiadów — powiedział. — I tak później dziennikarze piszą co innego, niż ja mówię". Udało mi się jednak w końcu przełamać nieufność olbrzyma z Rzeszowa, a ściślej — z podrzeszowskiej wioski, i oto siedzimy w kawiarni zakopiańskiego COS-u. Jego pojawienie się — nawet tutaj, gdzie jest częstym gościem — wzbudza ogólne zainteresowanie. Niezbyt taktlowne pytanie wręcz samo się ciśnie na usta: — Czy przypuszczał się pan już do ludzkiej ciekawości? Przecież to zrozumiałe, że za kimś, kto liczy sobie 214 cm wzrostu, ludzie, chcąc nie chcąc ciszyć będą się odwracać?

— Na początku krępowało mnie to, ale później się przyzwyczaiłem. Teraz po prostu nie zwracam uwagi.

— Dość często widuje się pana w towarzystwie kobiecym — zapytuję, ale tych najlepszych, a więc niższych, o ledwych kilkadziesiąt centymetrów. Tak kontrastowe „zestawienie" tym bardziej musi wzbudzać sensację.

— Odczuwam jakąś potrzebę opiekowania się słabszymi, mniejszymi. Dobrze takiego kontrastującego towarzystwa to bynajmniej nie chęć wzbudzania dodatkowej sensacji. Zawsze stawałem w obronie słabszych i najlepiej się czuję w ich towarzystwie.

— A czy zdarzyło się kiedyś pana wziąć swojej siły fizycznej, umiejętności zapaśniczych — poza matą?

— Nigdy! Mówię to najsupełniej szczerze. Zresztą nie było takich okazji, chociaż bywałem często np. na wiejskich zabawach, gdzie trafiały się różne sytuacje. Wystarczało jednak moje pojawienie się, czasem pogłaskanie awanturnika (autentycznej) i słowna perswazja, aby zalagodzić najbardziej niepożądaną sytuację. Nigdy na szczęście nie musiałem uciekać się do użycia siły.

Adam Sandurski stał się zapaśnikiem przypadkiem. Pracował w rzeszowskiej WSK jako elektryk i w wolnych chwilach grywał w koszykówkę. Nie za bardzo jednak odpowiadał mu ten sport; nie lubił biegać, a poza tym koszykówka nie dawała możliwości wyładowania olbrzymiej siły i energii przepełniającej w młodym organizmie. Kiedyś znajomi namówili go, aby spróbował zapaśnów. Spróbował i ... dał się skusić. Był to rok 1972; miał wówczas 18 lat. Pierwsze walki nie wskazywały, że wyrośnie zeń zawodnik klasy międzynarodowej. Sandurski wydawał się zbyt ociężałe porażdżić z silnym jak tur, ale będącym jeszcze na bakier z techniką i taktyką zapaśniczą. Na mistrzostwach Polski plasował się na 3—4 miejscu. Znaczące postępy przyszły w roku 1976: został wicemistrzem kraju, powtarzając ten rezultat rok później. Na polskim tronie najciężaczego w stylu wolnym królować począł od 1978 roku.

— Widziano we mnie niemal od samego początku mistrza świata. A ja sam stawiałem sobie poprzeczkę coraz wyżej. Najpierw moim celem było znalezienie się w szóstce najlepszych w kraju; potem szedłem się ubiegać o miejsce w strefie medalowej. Kiedy zabrakło groźnych konkurentów w kraju, można było pomyśleć o próbach zdobywania laurów międzynarodowych. I tu też starałem się stopniowo poprawiać rezultaty: początkowo miejsce w szóstce, potem strefa medalowa... W tej chwili jestem drugim zawodnikiem na świecie. Czy stać mnie na więcej? Na tegorocznych mistrzostwach Europy były szanse na złoto. Gdyby trenerzy w odpowiedniej chwili podpowiedzieli mi, że mam po, szobie „wózek" może bym wygrał z Chasimikowem?...

Trener kadry, **Eugeniusz Najmark** twierdzi, że Sandurski nie przegra już więcej z Chasimikowem, ale jednocześnie dodaje, iż selekcjonerzy radzieccy są w stanie wystawić w tej kategorii przynajmniej kilku zawodników równorzędnych, jeżeli nie lepszych. A więc kolejne przeszkody do zdobycia miana najlepszego w świecie.

— Wyniki się liczą — spokojnie mówi Sandurski — ale ja traktuję sport przede wszystkim jako przyjemność. Czy świadkiem tylu krajów, gdyby nie uprawiałem sportu...? Mam w tej chwili 30 lat. Na pewno mogę jeszcze z pięć lat startować. Może potem wyjadę za granicę, aby tam powalczyć. We wrześniu mam zamiar się ożenić. Moja przyszła żona studiuje, ma 165 cm wzrostu: kruszynka... Miałem ostatnio kłopoty osobiste: zmarł mi ojciec, matka chorowała poważnie. Pyta pan, czy myślałem o przerwie trenerskiej w przyszłości? Tak postępuje wielu znanych zawodników po zakończeniu kariery, ale ja nie brałem takiej możliwości pod uwagę. Do wszystkiego trzeba mieć zamiłowanie, jakiś powołanie. A mnie naprawdę praca trenerska nie pociąga. Jeżeli skończę ze sportem, wrócę po prostu do swego zawodu, będę pracował jako elektryk. Mam w domu dużo dziewięć medali — z mistrzostw świata, Europy, z olimpiady meksykańskiej. Same srebrne i brązowe. Brakuje mi tego najbardziej licznego: złotego. Czy uda mi się go zdobyć? Zobaczymy! Mam kłopoty ze znalezieniem partnera-partnera w trakcie tej chwili i trenuję z „klasykiem" — Henrykiem Tomankiem. Prawdę mówiąc, ono nam te wspólne treningi wyszły na dobre. Heniek osiągnął życiowe sukcesy, a i ja — chociaż nie zdobyłem złota na mistrzostwach Europy — nie przegrałem...

W przyszłość szczerość olbrzym z Rzeszowa wspomniał jak bardzo żałowało go, gdy nie został wbrew powszechnym oczekiwaniom mistrzem świata i Któś wówczas napisał, że „zdobył dla nieto podwójnych porcji". — A wbrew pozorom ja wcale tak wiele nie jadam. Lubię zatomiast chodzić, ale każdy ma przecież jakieś słabości.

ANDRZEJ SZYMAŃSKI

Fot. CAF

KĄCIK majora Czestawa Glińskiego

Balanga w Starym Sączu

Mieszkańcy starosądeckiego osiedla „Słonecznie" od grywanego czasu kibicowali powstającemu tu — z woli władzy miasta — nowemu, przestronnemu przedszkolu. Budowlani, jak wszędzie, mieli obiektywne i subiektywne kłopoty — a to czegoś w terminie nie dowożono, a to z dokumentacją nie tak, a to wydarzyło się coś szczególnego. W sumie jednak postęp robót był z miesiąca na miesiąc widoczny, bardziej widoczny. W kwietniu i maju br. przedszkole przeszło cykl robót wykończeniowych i majster Mieczysław G. ze swojekipą namalował na ścianach kolorowe obrazki, przed oddaniem go użytkownikowi. O miejscu w przedszkolu w Starym Sączu bardzo trudno, nie też dziwnego, że niejedna rodzina już piastowała w duchu nadzieję, że wkrótce zacznie odprowadzać swoje pociechy do tej placówki.

W ostatnich dniach maja zdarzyło się jednak coś, co kazało Mieczysławowi G. i jego ekipie przerwać do przedszkola i ponownie wziąć do ręk młotki i kielnie. Powrócili też do pracy w obiekcie stolarze. A stało się to za sprawą młodych wandali.

Mieczysław G. lubił popatrzeć na swoje, własne dzieła budowlane. Nazajutrz po zakończeniu prac, skoro świt znalazł się więc w pobliżu przedszkola i już z dalekiej zauważył dość istotne zmiany w wyglądzie budynku. Wiatr poruszał potowierzamyni drzwiami i oknami. Na majstra Mieczysława spłynęły wyrzuty przeciwnie. Wczoraj pozamykał przecież osobiście i okna, i drzwi obcitky, a i kłucz spoczywał w kieszeni jego kurtki. Przeczucia okazały się słuszne. Na świetlicy łojowym linoleum zalegała warstwa szkła z rozbitych szyb drzwiowych, same zaś drzwi — starannie nadawały się do wyrzucenia. Najsmutniejszy obraz przedstawiało jednak pomieszczenie dla personelu i administracji przedszkola. Kremowo-pomarańczowe tapety w dolnej części udekorowane zostały różnymi nieregularnymi wzorami, pokreślanymi przez — jak to później określono w milicyjnym protokole odjęcia — podeszwy butów o różnych rodzajach wzorów. Niektóre ze śladów, nanesione z bardzo dużą siłą, opisano jako dość znaczne wgłębienia. Gips, z którego zbudowane były jedyne działowe, jest materiałem kredowym i wytrzymałość na uderzenia ma stosunkowo niewielką. Toteż niektóre z płyt, promieniście pękły, nadawały się tylko do wymiany. Planowany termin otwarcia przedszkola przesunął się z więc nieprzewidzianych, właściwie dodatkowych, sprzątnięć dzikiej zabawy na czas bliżej nieokreślony. Mistrz Mieczysław G. zaklął z cicha, życzył w myślach „wszystkiego najlepszego" uczestnikom „balangi" i udał się po pomoc Milicji.

Komendant Posterunku MO w Starym Sączu, st. chor.. Kosikul, po wykonaniu wstępnych czynności procesowych zebrał swoją załogę na specjalną odprawę i postawił konkretne zadanie: sprawców dewastacji musimy wykryć! Wiedział bowiem, iż w tym przypadku od strat materialnych, wynoszących około 90 tys. złotych, ważniejsze są straty społeczne. Funkcjonariusze zaczęli więc przynosić drobne, wydowukoby się, informacje, których suma pozwoliła na wytypowanie sprawców wandalizmu.

W Piwnicznej było nudnawo, toteż Jarosław M. i. Piotr S. postanowili się wybrać do Starego Sącza. Przed podróżą wypili po jednym czy dwu kufliach jasnego. Tak połączeniem trafili oczywiście na starosądecki Rynek. Tu spotkali, będących akurat bez zajęcia, „Siedzia" i „Mamaa", Ch skrzętnej inicjatywy grupa jak łatwiej coś zorganizować. Rada w radę uchwalono, że warto się wybrać na majówkę na miasto. Na rowerze jednak, obliczono nawet na niedalką trasę, potrzebne jest zaopatrzenie. Zaopatrzenia tego, w butelkach z nalepką „Janosik" akurat w tym dniu w Starym Sączu nie brakowało. Każdy więc z uczestników wycieczki w zależności od posiadanych zasobników — zaopatrzył się w jedną lub dwie butelki tego napoju, po czym ruszyli dziarskim krokiem na górę parkową, z której roztacza się piękna panorama Starego Sącza. Nie widoki przyszli jednak podziwiać uczestnicy wycieczki. Ich uwagę zaprzątały przede wszystkim „Janosiki". Powrót był już mniej dziarski: ten i ów miał kłopoty z utrzymaniem właściwej linii chodu.

Apetyt rośnie w miarę jedzenia, nie też dziwnego, że po tej towarzyskiej zakąpiło jeszcze jedną czy dwie butelki, a kilkanaście butelek przyszła na zakąskę. Bieśiadą trwała dalej w parku przy ulicy Świętego Wita. Na horyzoncie pojawiły się dwie nieletnie damy, które podpowiedziały, że dobrze byłoby przenieść się w okolice przedszkola. Ulica Kowalska w nowej miłodzielnicach. Znalazł się pierwszy odważny, który otworzył okno; to nic, że na sile. Droga do „chaty" była wolna. Rozbawione towarzystwo walić drzwiami i oknami, które również siłą otwarto. Zabawa trwała. Tak długo, aż zrobiło się dobrze rozpoczętym dniem. Ktoś rzucił hasło popisania się przed damami. Rozpoczęło się taneczne przytupywanie. Ktoś z chęcią demonstrował na ściany. Razy były coraz silniejsze, toteż gipsowe płyty nie wytrzymały. Od-uderzenia pięści i nogami ciosami rozdzierały się drewniane obudowy kolorylerów. Dewastacje przerwał dopiero trzeźwiejący dziś w celach. Zatrzymanych zostiniczek zabawy o możliwości popisywania się Milicji.

Jarosław M., Piotr S., Leon W. i — młodzież z Mamaa — wtedy ładnie weszli w kolizję z prawem. Oni to byli pomysłodawcami i w zdecydowanej części wykonawcami nieodpowiedzialnych wybryków. Teraz, po upływie paru tygodni, gdy zapadły już decyzje prokuratorskie — sprawa w sądzie zdaje się zakończyć postępków. Czy jednak wszystko można zwalić na młodzieńczą fiftuację i oszołomienie alkoholem? Rekonstrukcja przedszkola potrwa kilka tygodni. Konieczne jest w zasadzie powtórne wykonanie prac wykończeniowych, wymiana poszczególnych płyt gipsowych. Dzieci i rodzice z osiedla „Słonecznie" w Starym Sączu będą musieli poczekać na otwarcie ich placówki. Inwestycja dokonała zniszczeń, które zostaną dokonane tak potrzebnej tu placówki.

(CIĄG DALSZY ZE STR. 24)

— Mam zal do pana... Po zaufaniu, jakiego panu dałam dowód, pan nie okazał mi zadnego!... Nie powiedział mi pan ani słowa o hrabinie. Tak słodko mówić o istocie, którą się kocha!

— Czyż ja nie mogłbym zrobić tego samego zarzutu? — przerwałem. — I gdyby pani, zamiast czynić mnie powiernikiem tego dziwnego pojedynka, w którym odgrywam tak szczególną rolę, zechciała mi mówić o margrabi...

— Cicho! — zawołała, ściśnij pan zna choć trochę kobiety, powinien pan wiedzieć, iż trzeba umieć czekać, aż same dojdą do zwierzeń... Wróćmy do pana. Czy pan jest bardzo szczęśliwy z moją przyjaciółką?... Ach, obawiam się, że nie...

Wzięła mnie pod ramię i podjęliśmy na nowo przechadzkę. To co usłyszałem od pani T., cała ta podróż, scena w karecie, potem na zawczasu, rozkoszne, cudowne wprowadzenie mnie w zamek, Dlaczego ma mnie miłość własna i pragnienie, powściągalną refleksją zarazem byłem zbyt wyrozumiały, aby zdać sobie sprawę z wrażeń. Podczas gdy mnie przeniknęły tak sprzeczne uczucia, towarzyszka moja mówiła o hrabinie, a milczenie moje zdawało się potwierdzać jej słowa. Jednakże niektóre szczegóły obudziły moją uwagę.

— Jak to bogata natura! — mówiła pani de T. — Ile wdzięku! Przewrotność robi w jej ustach wrażenie dowcipu; zdrada zdaje się wyzbytem rozgłosu, ołtarza dla przyzwoitości; gdyby chciała zapomnieć, zawsze pod bronią; rzadko serdeczna, nigdy szczera; równocześnie wabi i wymyka się. W ilu rolach podziwiałam ją! Wówczas miałam wielu, dlatego wokół niej! Jak ona umiała wywieść w pole barona, że sztuczek płatała margrabiemu! Gdy wzięła pana, to dlatego, aby odwrócić uwagę dwóch rywalów; byli już blizcy wyjaśnienia, bo za długo ciągnęła gre, i mieli czas się połapać. Wówczas wystąpiła na widownię pana, zajęła ich panem, zmusiła do nowych dociekań, zaś z tymczasem doprowadziła do rozpaczy, uliowała się, poczesała... Ach, jakże łatwa rola na sreczna, kobieta, kiedy prowadząc taką gre, bawi się uczuciami nie wiadając nic o siebie! Ale też co to jest kobieta!

To ostatnie zdanie, któremu towarzyszyło wiele mówiące westchnienie, było szczytem mistrzostwa. Miałem uczucie, iż jakaś zasłona spada mi z oczu, bez złudzeń wiedzę, że równocześnie wkładano mi ją. Kobieta moja wydała mi się nagle najfałszywszą istotą; wierzyłem, że dziś dopiero uraiłem na kobietę z sercem. Westchnąłem i ja, nie wiedząc dobrze pod czyim wpływem, lecz w to zdawała się ubolewać nad przykrością, którą mi sprawiła, i żałować, iż dała się unieść szczerości.

Tak rozmawiając doszliśmy do altanki, która szczęśliwym trafem okazała się otwarta. Brakło jej światła, ale i ciemność ma swe uroki. Odrzyny wchodzili, ogarnęło nas drżenie... Czy to sanktuarium ma stać się świątynią miłości? Siedzieliśmy na kanapce i prze chwilę słuchaliśmy w milczeniu naszych serc. Ostatni promyk nachodzącego zmierzcha uniósł ze sobą wiele skrupułów. Ręka, która nasze odpychała, czuła biciec mego serca. Towarzyszka moja wywiła się do uczciwości i oswarała się bezbronna, chroniła się w moje ramiona, kryła głowę na mym łonie, wzdychała i upokajała się pod pieszczotą; to potrząsała się w smutku, to znów szukała pocieszenia. Strumień pocałunków przerywał ciągę słodkim szmerem zestojonym z uderzeniami serc.

— Ach — rzekła niebiańskim głosem — oddaję się z całym niebieskiemczego miejsca... Tutaj jest aż zbyt słabym, aby się opierać.

Pociągnęła mnie za sobą i wyszliśmy, nie bez żalu.

— Jaka ona szczęśliwa!... — szepnęła pani de T.

— Kto? — spytałem.

— Czy ja co powiedziałam? — zawołała z przerażeniem.

— Cóż za cudowna noc! — mówiła pani de T. — Cóż za czarowne uczucie! Nabrało dla mnie nagle nowego powabu. Och, nigdy, nigdy nie powinnimy zapomnieć altanki... — Zamek — rzekła z uśmiechem — posiada jedno achronaśnie jeszcze bardziej urocze aż pan nie można nie pokazać: jestem jak dziecko, które wszystko chciałoby ruszać i psuje, czego się dotknie.

Wiedziony ciekawością, poczałem się zaklinać, iż będę rozsądny. Ale pani de T. już zmieniła przedmiot rozmowy.

— Ta noc — rzekła — byłaby bez chmurki, gdybym nie miała żalu do siebie za to, co mówiłam o hrabinie. Nie ktoym miała wzam do pana. Kazda nowość pociąga. Wydałam się panu sympatyczna, chętnie wierzę w pańską szczerość. Ale nad tym, by zniweczyć moc przywyczajenia, trzeba by długo pracować, a ja nie posiadam. Nej pan... Mówmy o czym innym. Jak się panu podobał moj maj?

— Dość kwaśny; zresztą, nie mógł być inny dla mnie.

— Och, to prawda; dla, kiedy przestrzegza, nie przyczynił się do dobrego humoru nic dziwnego, że go pan niecierpliwił. Nasza przyjaźń wydałaby mu się podejrzaną.

— Och, jest już na zapewne.

— Przyznaj, że nie bez zkazności. Toteż nie trzeba, aby pan przedłużał pobyt; męża by to dziraiło. Jak tylko zacną zjedziać się gościc, a ma przybyć kilka osób — dodała z uśmiechem — niech pan ucieka. Zresztą i pan musi zachować pewne względy...

— Słowa te dały mi do myślenia. Cała przygoda zaczęła robić na mnie wrażenie pułapki: widząc wrażenie, jakie na mnie wywarły jej słowa, hrabina dodała:

— Och, weselszy był wówczas, gdy urządzał dw gabinecik, o którym wspomniałam. Było to przed ślubem. Gniazdko to ściałaje z moimi pokojami. Nieteży, jest ono świadectwem, jakich środków potrzebował pan de T., aby ożywić swoje uczucia.

— Cóż za rozkosz — rzekłem zaciekawiony ostatnimi słowy — cóż za rozkosz byłaby poznać tam właśnie zniewagę, jaką wyrządzono pani wdzięcznym, i uwieść tam wszystko, z czego okradziono!

Zaś mój zmiał wyraźnie kaskę w oczach pani de T., jednak rzekła:

— Przyrzekł pan; być rozsądny!

Rzucam zaklęcie na szaleństwa, które każdy wiek przebacza młodości w imię tylu zawiedzionych pragnień, tylu wzniosłych, zbłąkanych nad pani de T. wznosząc ku mnie swe wilgotne oczy, pięknieje niż kiedykolwiek, rzekła:

— I cóż, potrafiłeż kiedy kochać hrabinę tak jak mnie?...

Miałem odpowiedzieć, gdy wiem wpadła pokojówka wołając:

— Niech pan ucieka, prędko, niech pan ucieka! Jasny dzień, jednasta, słychać już gwar w zamku.

Wszystko rozwiało się jak sen. Nam zdołałem zebrać zmysły, znalazłem się bezradny na korytarzu. Jak tam mego pokoju w którym miały nie być lem?... Wszelka pomyłka byłaby niedyskrecją. Postanowiłem udawać, że wracam z rannej przechadzki. Zbudziłem lokaja, który mnie uszczęśliwił stopniowo mą wyobraźnię i sprowadziłe z krainy cudów na ziemię. W miejsce cesrów widziałem już tylko rzeczywistość. Nie miałem nic pilniejszego, niż spytać, czym byłem właściwie dla kobiety, z którą rozstałem się przed chwilą... Ja, który wiedziałem z pewnością, iż kocha do szaleństwa, i to od dwóch lat, margrabiego de V... — Czyby zerwała? Czy wtedy miała jakie hasłnce, czy tylko narzędzie zemsty?... Cóż za noc! co za przygoda! Ale co za rozkoszna kobieta! Podczas gdy ubolałem w myślach kłopotych się w mej głowie, ssłyszałem szelest kroków. Podniosłem oczy, przetarłem je, nie chciałem wierzyć... ujrzałem... zrozumiałem kogo? Margrabiego!

— Jak spodziewałeś się mnie tak rano, nieprawdaż? — rzekł. — Nie i cóż, jakie się wszystko odbyło?

— Wiedziałeś, że tu jestem? — spytałem w odpowiedzi.

— No, oczywiście! Zawiadomiono mnie w chwili wyjazdu. Dobrze odegrałeś rolę? Cóż mąż? Twój przyjaciel wydał mu się bardzo dziki? Bardzo cię mieszczęśliwiła ta dziwna dziewczyna, ta dziwna żony? Kiedyż dostaniesz odprawę?... Och, nie bądź, się, pomyślałem o wszystkim, postaram się o wygodny powóz, którzy czeka na twoje rozkazy. Zastrzegam sobie prawo oddania ci w potrzebie pokojowej usługi. Możesz na mnie liczyć; to rzeczy, o których się nie zapomina...

Ostatnie słowa dały mi klucz do tajemnicy: odgadłem, jaką rolę grał mi wrzada.

— Ale czemu zawiesz się tak prędko? — spytałem. — Byłoby może rozsądniej odczekać jeszcze dwa dni.

— Wszystko przewidziałam; skowiadał mnie te procz wszystkie. Dowiedz się, że dzisiaj wielok kochanka żony? Kiedyż dostaniesz odprawę?... Och, nie bądź się, pomyślałem o wszystkim, postaram się o wygodny powóz, którzy czeka na twoje rozkazy. Zastrzegam sobie prawo oddania ci w potrzebie pokojowej usługi. Możesz na mnie liczyć; to rzeczy, o których się nie zapomina...

Ostatnie słowa dały mi klucz do tajemnicy: odgadłem, jaką rolę grał mi wrzada.

— Ale czemu zawiesz się tak prędko? — spytałem. — Byłoby może rozsądniej odczekać jeszcze dwa dni.

— Wszystko przewidziałam; skowiadał mnie te procz wszystkie. Dowiedz się, że dzisiaj wstąpiłem niby po drodze. Ale czemuż pani de T. nie wtajemniczyła cię we wszystko? Dopiwdy mam jej za złe ten brak zaufania. Po tym co dla nas zrobiła?

— Musiała mieć swoje przyczyny, mój drogi! Może nie byłbym się tak dobrze wywiązał z roli.

— To musiało być paradne! Opowiedzie szczegółowo, jak wszystko się odbyło, opowiedz...

— To bardzo proste. Nie nie wiedziałem, że to hrabina kochnedia, i chociaż pani de T. wciągnęła mnie do sztuki...

— Nie miałeś w niej szczególnej roli.

— Och, tym się nie trap; nie ma złych ról dla dobrych aktorów.

— Zatem wywiązałeś się dobrze?

— Znakomicie.

— A pani de T?...

— Czarujące...

— Czy wybrałaś sobie, aby można było przywiązywać podobną kobietę? — rzekł przystając, aby mi spojrzeć w oczy z wyrazem triumfu. — Och, kształtowało mnie to nie mało trudu. Ale w końcu udało mi się urobić ją tak, że ze wszystkich kobiet w Paryżu pani de T. jest osobą, na której wierność można najwięcej polegać.

— Dokazałeś prawdziwej sztuki...

— Och, tam mój talent. Niestałość jej płyne z kaprysu, z nieokiełznanej wyobraźni. Ta dusza potrzebowała, aby nią ktoś zawładnął. Ale też nie możesz sobie pojęcia, do jakiego stopnia, jest do mnie przywiązana. No, przyznaj, czy nie urocza istota?

— Ale: przyznaję!

— A przecież i ona, mówiąc między nami podesła jedną wadę. Natura dając wszystko, odmówiła jej owego boskiego płomienia, który jest szczytem wszystkich jej darów. Ta kobieta wszystko budzi, wszystko rozniecą, sama zaś nie czuje nic. Murmur.

— Muszę wierzyć na słowo, bo sam nie mogę o tym sądzić. Ale czy wiesz, że jy znasz tę kobietę tak dobrze, jak gdybyś był jej mężem? Można by się pomylić, doprawdy. Gdyby nie to, że wczoraj siedziałem przy kolacji z prawdziwym— gotów byłbym cię wziąć...

— Powiedz, czy byń uprzejmy?

— Och, przyjaźń mnie jak psa!

— Rozumiem. A ta wycieczka do zamku, pójdziemy do pani de T., jest już zapewne widzialna.

— Czy nie wypadałoby raczej zacząć od męża? — odparłem.

— Masz rację. Ale wstąpmy na chwilę do twego pokoju, chciałbym się nieco przypudrować. Powiedz mi więc: czy się zapełnie wziął za kochanka?

— Będziesz mógł to sam ocenić z zachowania; chodźmy zaraz do niego.

Chciałem wykręcić się od prowadzania margrabiego do mego pokoju, którego nie znałem, ale sam przypadek nas tam zawiódł. Przez otwarte drzwi spostrzegłem mego służącego, drzemiącego w fotelu. Dopalająca się świeca stała obok. Zbudzony, podskoczył, aby na wnoś przytomnie podać szlafrok margrabiemu. Stałem jak na rozżarzonych węglach; ale margrabia był w usposobieniu tak pożądnym do złudzeń, że nie dostrzegł w tym nic prócz komicznego odurzenia śpiocha. Udaliśmy się do pana de T. Można sobie wyobrazić, jak przyjęto się tu mnie, a jakimi uprzejmościami i komplementami obsypał margrabiego, zatrzymując go niemal przemoca. Chciał go zaraz zaprowadzić do żony, w nadziei, że może ona potrafi go skłonić, by został choć kilka dni. Co do mnie, pan de T. nie śmie jak mówił, robić mi żadnej uprzejmości. Wte, że zmęczenie, ból głowy, zdrowia; otoczica mnie wilgotna, bagnista, już dziś wydaje się tak znużony, że jasne jest i dłuższy pobyt w zamku byłby dla mnie wprost niebezpieczny. Margrabia wyrażał mnie nowej przyjaźni. Miał nie posiadał się z radości i wszyscy trzej byliśmy zadowoleni. Nie chciałem jednak wyrzec się przyjemności pożegnania z panią de T. Niecierpliwość moja była wszakżeżnin bardzo mocna. Mój mózg mógł nie mógł pojąć przyczyny tak długiego zwu ukochanej.

— Czy tę nie jest paradne? — rzekł do mnie, idąc za panem de T. — Gdyby mu kto podowiedział, co ma mówić, nie mógłby się lepiej znaleźć. To się nazywa człowiek dobrze wychowany. Serdeczne zaraz zapomniał o hrabinie i żony, razem będą stanowić dom bardzo miły, a przynajmniej chyba, że nikt lepiej od pana de T. nie potrafiłby robić honorów.

— O tym nie wątpię! — odparłem.

— Jakkolwiek całe zdarzenie jest bardzo zabawne — rzekł tajemniczo — cicho, zaś Postaram się zapewnić panu de T., iż sekret jej znajduje się w dobrych rękach.

— Mam wrzi drogi, ona więcej może liczyć na mnie niż na siebie; jak widzisz kadne obawa nie smąciła jej snu.

— Och, przyznaję, nie masz równego sobie, gdy chodzi o to, aby uspić kobietę.

— I jej męża, i w potrzebie nawet kochanka!

Wreszcie pan de T. uzyskał dla nas wstęp do pokojów pani. Wszyscy znaleźliśmy się tam w swoich rolach.

— Działam z obawy — rzekła pani de T. — czy pan nie wyjechał przed mym przebudzeniem; serdecznie pożegnałam, zaś pan umiał odczuć przykrość, jaką by mi to sprawiło.

— Pani — rzekłem głosem, w którym pani de T. musiała odczuć głębokie wzruszenie — chciej przyjąć wyrazy pożegnania..

Rzuciła kolejno na mnie i na margrabiego niespokojne spojrzenie; ale pewny siebie i zadowolony wyraz kochanka odjął jej obawy. Uśmiechnęła się ukradkiem w sposób, który mógł być dla mnie pocieszeniem, nie obniżając jej w mych oczach.

— Dobrze odegrał swą rolę — rzekł półgłosem margrabia — i wdzięczność moja...

— Dajmy już pokój; proszę mi wierzyć, że sama wiem, ile zawdzięczam pańskiemu przyjacielowi.

Wreszcie pan de T. pożegnał mnie na szczędzie różnych zdolności przyjaciół mój jest kochanką wobec męża, równocześnie zaś podrwiwał ze mnie; ja odpłaciłem im oba, podziwiając panią de T., która umiała wywieść w pole nas wszystkich, nie tracąc nic ze swej godności. Rozstawszy się tą sceną czułem, iż nadszedł czas odjazdu. Skłoniwszy się raz jeszcze, opuściłem pokój, lecz pani de T. pod pozorem jakiegoś zlecenia poszedziła za mną.

— Jeszcze raz jegnam pana. Zawdzięczam panu wiele przyjemności, ale odpłaciłam mu ja pięknym snem — rzekła rzucając wymowne spojrzenie. — Zegnam pana, i na zawsze. Zerwałeś kwiat rozkwitły w samotnym ustronu, którego żaden mężczyzna...

Zamilkła, kryjąc swą myśl w cichym westchnieniu; ale po chwili wstrzymała ten jaryczny wybuch i dodała z filutemym uśmiechem:

— Hrabina kocha pana. Jedli wykradłam jej parę chwil wzruszenia, zwracam jej za to pana mniej niedoświadczonym. Zegnam pana i proszę, by mnie nie potrzebił z przyjaciołka.

Ścisnęła mi rękę i znikła.

(ciąg dalszy nastąpi)

Czy można skutecznie walczyć z podstępami kobiet? Pewien staruszek opowiedział kiedyś zadziwiającą przygodę. Posłuchajcie bo warto...

(9)

NAUKI DANA BALZACA

Kochałem się bez pamięci w hrabinie X. Miałem lat dwadzieścia i byłem naiwny, więc mnie zdradziła; oburzyłem się, więc mnie rzuciła; byłem naiwny, więc tęskniłem za nią; miałem lat dwadzieścia, więc mi przebaczyła; że zaś miałem dalej lat dwadzieścia, byłem dalej naiwny, ona zaś zdradzała mnie, ale już nie rzucała. czułem się kochankiem najbardziej ubóstwianym pod słońcem. Hrabina była przyjaciółką pani de T... Pewnego dnia, w teatrze, czekając na hrabinę, usiłowałem, że mnie ktoś woła z sąsiedniej loży. Była to pani de T.

— Jak to — rzekła — już na posterunku? Czy to wierność, czy brak zajęcia?

Głos i zachowanie miały odcień zalotności, ale daleki byłem od myśli o romanowej przygodzie.

— Ma pan jakie projekty na dziś wieczór? — rzekła. — Nie trzeba mieć. Jeśli pana wybawię z nudów samotności, trzeba mi za to oddać się na dzisiaj... Och, nic nie pytać, tylko być posłusznym.

Następnie pani de T. uśmiecha się, prosi bym jej podał rękę, sprowadza mnie na dół, każe wsiąść do powozu. Na każde pytanie, jakie pozwalam sobie uczynić, otrzymuję głośny wybuch śmiechu za jedyną odpowiedź. Gdybym nie wiedział, że od dawna łączą ją związki z markizem de V., że nie może przypuszczać, aby romans ten był dla mnie tajemnicą, mógłbym myśleć, iż zmierzamy do awanturki miłosnej; ale pani de T. miała stu mojego serca. a hrabina X. była tak najlepszą przyjaciółką. Nie pozwalałem na żadne zaś rozumiałe domysły. Dotarłszy do pierwszej stacji pocztowej, ruszyliśmy natychmiast dalej, obsłużeni błyskawicznie. Rzecz zaczynała wydłużać nieznośnie. Spytałem stanowczo, dokąd prowadzi ten tart.

— Dokąd? — rzekła pani de T. śmiejąc się. — Jedziemy do mojego męża. Czy pan go zna?

— Ani trochę.

— Doskonale; obawiałam się. Ale nam nadejdzie, że będzie pan zadowolony ze znajomości. Próbuję nas pozdzić Już od roku kocha się ukłuty, a od miesiąca musiałem do siebie. Sądzę, że dają dowód wielkiej uprzejmości, odwiedzając go.

— Zapewne ale cóż ja tem będę robił? Cóż za rola przy tym pojedynku..?

— Och, to już moja sprawa! Jest pan młody, sympatyczny nie zanadto przeżyty, właśnie co mi trzeba potrzebuję dla wybawienia mnie od nudów małżeńskiego sam na sam.

— Jednakże obierać dzień, lub raczej noc pojedynania malionków na pierwszą wizytę zdaje mi się nieco dziwaczne!

— Wziąłam pana, byś mnie zabawiał, proszę sałem nie mówić mi kazań — rzekła dość ostro.

Wobec tak stanowczej decyzji nie pozostało mi nic innego, niż pozdzić się z sytuacją. Zlekaleem żartować z mej roli i rozmowa okybrała nader wesoły obrót. Od czasu do czasu dama kazała mi zachwycać się pięknością krajobrazu, czają nocy, przejmującym milczeniem natury. Rzecz naturalna, że aby wspólnie podziwiać wychylaliśmy się przez okno; twarze nasze dotykały się. Niespodziane wstrząśnięcie sprawiło, iż pani de T. ścisnęła mnie za rękę i — jakimś przypadkiem znalazła się na chwilę w mych ramionach. Sam już nie wiem, co mieliśmy oglądać, ale to wiem na pewno: że mimo księżyca przedmioty zaczęły mi się mrocząć w oczach.

Sami nie wiedząc kiedy, znaleźliśmy się na dziedzińcu zamkowym. Wszystko jarzyło się od świateł i związałowało wesołość. z wyjątkiem fisjonomii gospodarza, która na mój widok daleka była od radości. Pan de T. podaje rękę żonie, ja postępuje za nią mała ślęśka, pogrążony w myślach o mojej roli. Przebiegłem apartamenta przybrane z najwytworniejszym smakiem. Nie wiedząc o czym mówić, szukałem ucieczki w zachwytach. Bogini tego przybytku, umiejętnie rozłaczająca jego skarby, oddała oobliżliwie moje komplementy

— To jeszcze nic — rzekła — trzeba dojdzie aby pan zobaczył pokoje męża.

— Och, już pięć lat mija. jak kazałem je rozabrać.

— Ach. tak... — rzekła pani.

Przy kolacji pani de T. podsunęła mężowi jakąś potrawę.

— Dziękuję, od trzech lat jestem na mleku.

— Ach, tak... — rzekła znowu.

Prędze sobie wyobrazić czy osoby jednakowo zdziwione, iż znalazły się razem. Mąż był wymowny i aktywny, na co mów ja odpowiadałem bezceremonialną śmiałością. Pani de T. uśmiechała się i była czarująca; pan de T. przyjmował mnie jako nieuniknione. żona zaś odplacała mu w tej samej monecie. W życiu nie brałem udziału w dziwaczniejszej wieczerzy. Gdyśmy wstali od stołu, sądziłem, że udamy się wcześnie na spoczynek, ale przypuszczenie okazało się trafne tylko co do pana de T. Gdyśmy przeszli do salonu, rzekł:

— Bardzom pani obowiązany za przezorność, jaka okazałaś przywożąc tego pana. Odgadła pani, iż byłbym nieszczęśliwym towarzyszem wieczoru. Uczyniła pani bardzo roztropnie, gdyż co się mnie tyczy, udaję się do siebie

Następnie zwracając się w ma stronę, dodał z głęboka ironią

— Zęchce mi pan łaskawie wybaczyć i usprawiedliwić mnie przed żoną.

Pan de T. wyszedł. Zostawszy sami, wymieniliśmy z panią de T. spojrzenia tak wymowne, iż ona chcąc nas wybawić z drażliwej sytuacji, zaproponowała przechadzkę, aby — jak mówiła — doczekać, aż służba skończy wieczerzę.

Noc była przepyszna. Ogród, wsparty o zbocze góry, spadał terasami aż do Sekwany. Moja pani ochłonęła już po brutalności męża i wśród przechadzki uczyniła mi parę wierzeń... Jedne zwierzenia nadawały drugie oczyszła kolej na mnie, rozmowa stawała się coraz bliższa i bardziej zajmująca. Zrazu ujęła mnie pani de T. pod ramię; później, nie wiem jak, ramię to zostało w połowie się łoło mnie, gdy ja prawie niosłem ją w powietrzu. ledwie pozwalając jej dotykać ziemi; poczęła przyjemna, lecz po pewnym czasie nieco nużąca. Dłużej już chodziliśmy tak razem, a jeszcze mieliśmy sobie wiele do powiedzenia. Trafiła się darniowa ławeczka; siedzieliśmy nie zmieniając pozycji. Tak przytulenii, prowadziliśmy niewiele łamy na cześć ufności, jej uroków. słodyczy... Stwierdziliśmy jednomyślnie, iż możemy pozostać jedynie nietykalna parą przyjaciół

— Obawiam się — rzekłem — że to zdarzenie tam, w powozie, mogło panią zaniepokoić?...

— Och, ja się tak łatwo nie przestraszam

— Boję się, czy nie zostawiło lekkiej chmurki?

— Co zrobić, aby pana uspokoić?

— Powiedz mi dokończyć pocałunku!

— Najchętniej; inaczej wyobrażałby pan sobie w swej pyszę, że się obawiam...

Otrzymałem pocałunek... Z pocałunkiem jest jak ze świeczniami: pierwszy pociągnął następny, i jeszcze jeden...

— Trzeba wracać... — rzekła pani de T... — dziwni chłopi wiele od rzeczy...

— Nie sądzę, aby byli dla nas niebezpieczni... — odparłem.

— Może! Wracajmy jednak.

Tak więc pani de T. zmusiła mnie, bym się skierował na drogę ku zamkowi. Nie wiem, a raczej wówczas nie wiedziałem czy to był gwałt, który zadaje sobie sama, czy dobrze obmyślane postanowienie czy towarzysza nadjęła moje zmartwienie, że już się skończyła scena tak dobrze zaczęta; dość że pod wpływem jakiegoś wsnólnego instynktu kroki nasze wolniały, wiekliśmy się smutni nieradzi z siebie. Nie wiedzieliśmy o co zaczepić. Tymczasem zbliżaliśmy się do zamku, łamiąc sobie w milczeniu słowy nad sposobem uchylenia obowiązku, którymże mieć obowiązki tak nieszczęcie. Byliśmy przy bramie. edy pani de T. rzekła:

(CIĄG DALSZY NA STR. 23)

MARIA ŻUROWSKA

UŚMIECH FAUNA

— 6 —

Z oczu Stefci spływały łzy ciężkie łzy. Ocierała je chusteczką bezskutecznie starając się je hamować Choć zaledwie znała zmarłego. śmierć jego wzięła na nie. Ale zachowała się w ceremonia pogrzebowa przypomniała najboleśniejsze chwile życia.

W gronie zebranych części postacie młodzieńca i dziewczyn budziły osobne zainteresowanie.

Rozeszła się bowiem po całej okolicy pogłoska. że po powrocie z Warszawy hr. Aleksander zmienił treść testamentu. awdzędkiczyli wszyscy i wybrał Stefcie jako spadkobierczynie olbrzymiego majątku Patrzono więc na nią z ciekawością. jako na dziedzicznie Halinowiec i czyniono wnioski różne jakoś

Trwało to do chwili, gdy trumnę ustawiono w kaplicy na wysokim katafalku, otoczonym mienia i kwiatami w rzęsistym oświetleniu. Rozpoczęło się uroczyste nabożeństwo.

Teraz. dopiero Roger ocknął się z zadumy i rozejrzał się dokoła Kaplica była przepełniona. Prócz sąsiadów i znajomych. przybyłych z dalszych stron. sporej eromadki oficjalistów i służby dworskiej. dzięli się dni włościanie z całej wsi. pragnąc oddać ostatnia posłuże swemu panu i nasycić swą podniecona ciekawość tak niezwykłym widokiem tak wielkopańskiego pogrzeb

Roger poznał mnóstwo znajomych twarzy. a jednak czuł się osamotniony wśród tłumu. Jedynie prawdziwie bliski był mu ten który spoczywał martwy w tej trumnie i któreeo niżej więcej nie ujrzy Pełen życia i energii młodzieniec rzadko kiedy myślał o śmierci Własna śmierć przedstawiała mu się jako dalka konieczność Zgon obcych uważał lako zwykłe koniec każdej istoty i nie zastanawiał się nad tym głębiej

Traćił po raz pierwszy drogą osobę i po raz pierwszy rozstanie się duszy z ciałem stanęło mu przed oczami lako strasżliwa zagadka i bezwzględne prawo natury przeciw któremu buntowała się cała jego istota

Dokoła niego klęczeli ludzie. pogrążeni w modlitwie. On klęczał również, lecz żadną miarą nie mógł się wznieść duchowo w sfery zaświatowe i zwrócić się do dalekiego Boga, który zabierał mu opiekuna i przyjaciela właśnie w chwili, gdy czuł się względem niego winnym i postanowił go przeprosić i zmienić postępowanie.

Roger nie był ateuszem, nie przeczył istnieniu wyższego Ducha kierującego światem, lecz wiara jego drzemała. zagrzebana na dnie serca.

Obowiązki religijne spełniał czasem, lecz tylko dla odróżnienia siebie od tłumu wyczyniał. Zbyt był zajęty doczesnym hulaszczym życiem, aby rozmyślać na temat przyszłości pozagrobowej.

W chwili podniesienia, gdy przerwano śpiewy na chórze i umilkły organy, a jedynie głos dzwonka rozlegał się ostro wśród uroczystej ciszy, poczuł nieprzepartą chęć ukorzenia się przed Majestatem Najwyższego Sędziego, błagając Go o miłosierdzie nad duszą zmarłego,

Oderwał teraz wzrok od trumny w przeświadczeniu, że znajduje się tu tylko marna cielesna powłoka, lecz gdzieś, na niedoścignionych wyżynach, istnieje treść prawdziwa, która nigdy nie umiera.

To go jednak nie pocieszyło w żalu, a może nawet spotęgowało rozgoryczenie

— Jeśli dusza żyje, a tylko odrywa się od ciała, dlaczego nie możemy mieć z nią bliższego kontaktu i odczuwać jej istnienia? — błysła mu myśl przelotna.

(Ciąg dalszy nastąpi)